



# Zeszyty TŁUMACKIE



III KWARTAŁ 2000

ISSN : 1426-4129

Nr 3(19)

---

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław

---



# Spis treści

## I W kręgu wielkich rocznic

Wiersz pt. „Liść” – Marian Hemar .....	1
Wojsko Polskie na Zachodzie – fotografie .....	1
Ta ostatnia niedziela – Ks. Lesław Jeżowski .....	2

## II Sagi rodzinne

Ze wspomnień małolata – Tadeusz Bodniak .....	4
---	---

## III Historia

Powrót – Franciszek Petrus .....	6
----------------------------------	---

## IV Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c.d.) – Ks. Lesław Jeżowski .....	9
--	---

## V Tłumacz w latach wojennych 1939-1945

Wspomnienia i refleksje mieszkańca Pilawszczyzny – część II – Władysław Rzucidło .....	12
--	----

## VI Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księży

Był darem Chrystusa dla Kościoła. Ksiądz Leszek January Dublewicz – 1933-2000 – Ks. Stanisław Turkowski ...	14
---	----

## VII Wspomnienia o Kresowych Żydach

Żydzi miasta Tyśmienicy – Stanisław Pelikan .....	17
---	----

## VIII Wiadomości z życia tłumaczan

Przeżyjmy to jeszcze raz. Spotkania i Zjazdy Tłumaczan (1945-1995) (c.d.) – Janina Petrus-Duszyńska .....	23
Odpust w Siedlakowicach – Jerzy Czyżycki .....	26
Protokół zebrania Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan odbytego w dniu 6. 06. 2000 r. w Kołobrzegu .....	26

## IX Listy

Listy .....	27
Zawiadomienia .....	29
Lista ofiarodawców za II kw. 2000 r. ....	29

Okładka – kościół św. Anny w Tłumaczu (przed I Wojną Światową)

Redaguje zespół w składzie: Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny  
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta

Redakcja techniczna: Franciszek Borkowski

Adres Redakcji: TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-079 Wrocław,  
ul. Ruska 32/33, I p. Tel. 071/344-88-93.  
Konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki.  
W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów  
oraz poprawek stylistyczno-językowych.

## W kręgu wielkich rocznic

1-szy września to smutna 61 rocznica napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę, a 17 września napaści Sowieców na jej wschodnie tereny.

Czwarty rozbiór Polski!

W tym roku, jak przed 61 laty, 17 września wypadło również w niedzielę.

Poeta Marian Hemar w swoim pięknym wierszu pt. „Liść” tak wspomina ten dzień:

\*\*\*

*Już światełka na wzgórzach  
Rumuńskich, niedaleko,  
Pełgały przed oczami,  
Już byliśmy nad rzeką.  
Wyszedłem z wozu. Obok,  
Tuż przy drodze, na lewo,  
Zamajaczyło przede mną  
Ciemne ogromne drzewo.*

\*\*\*

*Słuchałem jak w nim szeptce  
Drobnych kropel ulewa.  
I zerwałem liść jeden –  
I zerwałem liść z drzewa –*

\*\*\*

*I wzięłem liść ze sobą  
Na swą drogę daleką,  
Co się wtedy zaczęła  
Za tym mostem za rzeką,  
I wiodła przed oczami  
Tułaczego przybłądy  
To tam, to sam, to tamtędy,  
To tędy, to owędy.*

*Dziś, gdy piszę te słowa,  
Rzewna to mi pociecha,  
Otwieram dawną książkę  
A w książce liść orzecha.*

*Jakby z przezroczystego  
Szklą, cieniutki i kruchy,  
Lecz wciąż jeszcze zielony,  
Choć przybłądł*

*I pachnie wciąż – tym samym  
Gorzkim jakby i ciemnym,  
Nijak niewystłowionym  
Zapachem potajemnym,  
A w nim – deszcz cichy pada  
I czarna noc poodolska  
I wiatr, i szum, i chmury,  
I tłum, i żal, i Polska.*

*I nie mogę uwierzyć  
Wspomnieniu szepczącemu  
Że w Polsce, u granicy,  
Siedemnaście lat temu  
Rósł na drzewie, nade mną,  
Ten listeczek sierocy,  
Że sam go tam zerwałem  
Tej niedzieli, tej nocy.*

## Wojsko Polskie na Zachodzie



*Generałowie Wojska Polskiego  
Józef Haller i Władysław Sikorski*



*Generał Władysław Sikorski odbiera defiladę*



*Polskie lotnictwo w Anglii  
Tłumaczanin Stanisław Panachida drugi w 2-gim  
rzędzie (zdjęcia z jego zbiorów)*

\* Z wielozwrotkowego wiersza wybraliśmy fragmenty.

# Ta ostatnia niedziela

Ks. Lesław Jeżowski

Gdy sformułowałem powyższy tytuł, uświadomiłem sobie, że jest on niemal identyczny z nazwą przedwojennego, dobrze nam znanego tanga: „To ostatnia niedziela”. I chciałem go zmieniać. No bo jakże to tragiczna, straszna niedziela 17 września 1939 r. i popularna piosenka razem, jednakowo określone? Ale po chwili namysłu uznałem, że tytuł tego wspomnieniowego artykułu może pozostać. Bo i ta ostatnia, nasza niedziela w niepodległej Polsce, i słowa tanga, które śpiewaliśmy w latach trzydziestych, mają coś wspólnego. Zachowując, oczywiście, zasadnicze różnice i proporcje, ożywiamy nasze wspomnienia, a w nich są zawsze sprawy wielkie i małe, tragiczne i wesołe, wzruszające i obojętne. Myśmy w tamtą niedzielę rozstawali się z wolnością, piosenkowi bohaterowie ze sobą. I dla nich i dla nas nie była to „pora szukania wymówek”, tłumaczeń dlaczego tak się dzieje, dlaczego nieprzyjaciele nas pokonali i ujarzmili. „Fakt, że skończyło się” – to dla nich miłość, dla nas niezależność Ojczyzny.

Inne, znacznie wcześniejsze niedziele w Tłumaczu zaczynały się ciszą przy wschodzącym słońcu, potem dźwiękiem kościelnych dzwonów, krokami ludzi idących na pierwszą Mszę św. A ta ostatnia niedziela jakby w ogóle nie miała początku, ale już od kilku dni trwała w nie zmieniającej się formie. Ulicą Słowackiego, od strony Stanisławowa, bez przerwy jechały samochody, autobusy, motocykle, rowery, zaprzęgi konne. Dzień i noc. Kto tylko mógł ratował się ucieczką przed napierającą armią niemiecką, zdążając przez Tłumacz do Rumunii. Na pojazdach widziało się tablice rejestracyjne niemal ze wszystkich polskich województw. Wehikuły wypełniały dwoma ciągami całą jezdnię. Niepodobiestwem byłoby pojechać w kierunku odwrotnym niż one, w stronę Stanisławowa. Pojazdy poruszały się wolno. Z powodu zajęcia całej drogi, samochód nie mógł wyprzedzić konnego wozu. Wlókł się za nim, a zmęczone konie trudno przychodziło popędzić. Prowincjonalny Tłumacz, przyzwyczajony do oglądu na swoich ulicach dwóch miejscowych samochodów i jednego fiakra, teraz patrzył na nieprzeliczone auta najprzeróżniejszych marek. Zamiast jednego powozu p. Dolaisowej i chłopskich wozów z okolicznych wsi, widział rozmaitość ekwipaży i ludzi ubranych lepiej lub gorzej, z bagażem dużym lub małym, przeważnie smutnych, obojętnie spoglądających na mijane domy. Tłumaczanie wiedzieli już, że sytuacja wojenna musi być dla Polski bardzo zła, skoro tylu mieszkańców opuszcza ją w przestrachu i że Niemcy nieubłaganie wchodzą w głąb kraju. Wręcz trwogę wywoływały wozy z żołnierzami. Siedzieli lub leżeli w nich, odłożyli broń, zachowywali się beztrudnie. To chyba znak, że nasze wojsko jest rozbite, już nie stawia wrogowi żadnego oporu, ucieka przed nim, jak cywile.

Czy Niemcy dotrą do Tłumacza? Jeszcze przed kilkoma dniami wydawało się to nieprawdopodobne. Musi się przecież utworzyć jakiś front, który zatrzyma najeźdźców. Może będzie wzdłuż Wisły? A stamtąd do naszego miasta jakże daleko. Teraz, skoro Niemcy są

już za Wisłą i ciągle prą naprzód, niewykluczone, że zobaczymy ich, niestety, u siebie. Kiedy to nastąpi, jak będzie wyglądało? To był temat niedzielnych rozważań i domysłów tłumaczan. Rozmów pełnych przygnębienia i trwogi.

Nie brakowało ich i w moim domu. Odbywały się od niedawna przeważnie wieczorami, gdy Ojciec powracał ze Starostwa i przynosił najświeższe wiadomości otrzymane drogą służbową z Województwa w Stanisławowie. Od kilku tygodni urzędnicy pracowali w Starostwie dłużej niż zwykle, wprowadzono dyżury nocne. Ale dziś była niedziela i należało przede wszystkim uczestniczyć w kościele w Mszy św. Wspaniała pogoda utrzymywała się od dawna, balkonowe drzwi stały otworem i dochodził przez nie odgłos przejeżdżających ulicą pojazdów, śwąd benzyny, unoszący się w powietrzu kurz. Co kilka minut ktoś z nas wychodził z pokoju, aby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. W pewnej chwili dał się słyszeć huk gdzieś daleko przelatujących samolotów. Pomyślałem, że to nasze ciężkie bombowce, Łosie. Bronią nas. Nie sądziłem, żeby to mogła być jakaś eskadra niemiecka. Żadnych wybuchów bomb nie było słyhać. Groza wojenna i dokonujący się przez miasto prawdziwy exodus Polaków z kraju nie zatrzymały tłumaczan w mieszkaniach. Jak zwykle w niedzielę szli masowo do kościoła na Mszę św. o 9-ej godz. Kazanie częściowo nawiązywało do bieżącej sytuacji, śpiewy i modlitwy wydawały się być żywsze, intensywniejsze niż kiedy indziej. Pełną piersią i z wielkim wzruszeniem śpiewaliśmy „Boże coś Polskę”.

Gdy wracaliśmy do domu, przyłączali się do nas znajomi, chcąc usłyszeć od Ojca ocenę obecnego położenia naszego kraju i przewidywania na przyszłość. Wciąż wszyscy spodziewali się, że nasi sojusznicy: Anglia i Francja, które to państwa przed dwoma tygodniami wypowiedziały Niemcom wojnę, nareszcie coś uczynią, zaatakują ich zbrojnie i nam przyjdą z pomocą. W mieszkaniu zaraz włączyliśmy ponownie radio, ale z uszkodzonych stacji nadawczych docierały skąpe wiadomości, które nie mogły napawać optymizmem. Do Ojca spiesznie przyszedł woźny ze Starostwa z informacją, że otrzymano zaszyfrowany telefonogram z Województwa i trzeba go natychmiast odczytywać. Po wyjściu Taty do biura, zdenerwowani snuliśmy przypuszczenia, że widocznie Niemcy zbliżają się coraz bardziej i władze wydają nowe zarządzenia. Mama roztrząsała sprawę zaopatrzenia nas w żywność i opał. Nie było tego zbyt wiele, wszak dopiero przed dziesięcioma dniami wróciliśmy do Tłumacza z dwumiesięcznych wakacji. Nie było kiedy dokonać odpowiednich zakupów. A przed wakacyjnym wyjazdem nikt naprawdę nie wierzył, że dojdzie do wojny. Spodziewano się pokojowego usunięcia napięcia między Niemcami a Polską. Wychodziłem na balkon. Widok wciąż podobny. Może trochę mniej uciekinierów, mniej pojazdów. Ale za to na chodnikach pojawili się chłopcy z okolicznych, ruskich wsi. Stali po kilku razem, patrzyli na przejeżdżających, przypatrywali się domom. W rękach trzymali zwinięte worki. Czyżby przygotowywali się do napadów i rabunków? To, co przepowiadali niektórzy tłumaczanie, dobrze znający podmiejską ludność, zdawało się nie być czczym krakaniem.

Podniecony atmosferą dnia nie wiedziałem, co robić, czym się zająć. Nic mi nie odpowiadało. Brałem do ręki książkę, aby ją zaraz odłożyć, przeglądałem czasopisma, kręciłem gałką odbiornika radiowego, otwierałem albumy, a wciąż myślałem o jednym. Co z nami będzie, gdy tu wejdą Niemcy? Czy Tata pozostanie na swoim stanowisku, jak zachowa się Mama w zetknięciu z naszymi wrogami, czy ja będę miał możliwość kontynuowania swoich studiów? Najmniej przejmowałem się bratem. Miał dopiero jedenaście lat. Co mu może grozić? Jakoś nie obawiałem się głodu, bezdomności, zimna. Przeczuwałem też, że miasto nie zostanie zbombardowane, obejdzie się w nim bez artyleryjskich strzałów. Mama zajęła się jakimiś drobnymi pracami domowymi, zapewne, aby uciszyć dręczące ją myśli, podobne do moich. Przechodziłem z pokoju do pokoju, wreszcie z balkonu dostrzegłem dwóch swoich kolegów, którzy zawołali, abym zszedł do nich. Poszliśmy razem ulicą Słowackiego w stronę stawu. Opowiadaliśmy o swoich losach w minionym roku szkolnym, kiedy oni przebywali w wojskowej podchorążówce, a ja studiowałem we Lwowie. Wyrażaliśmy własne opinie o przebiegu działań wojennych i o sytuacji w Tłumaczu. Zaznajomiłem ich z przewidywaniami ks. Witkowskiego, naszego katechety, odnośnie zachowań Związku Sowieckiego, gdyby Niemcy zaatakowali Polskę. Rozmawiałem z nim na ten temat jeszcze wtedy, kiedy Hitler dopiero zaczął grozić naszej Ojczyźnie. Ksiądz sądził, że Sowieci wtargną od Wschodu, gdy Niemcy przekroczą granicę zachodnią i posuną się znacznie naprzód. Spotkają się razem gdzieś w połowie kraju, podzielą go między siebie i ujarzmią na pewien czas. Nie chciałem przyjąć tych przewidywań Księdza. Przecież z Sowiecami mieliśmy pakt o nieagresji. Podpisanego traktatu nie można złamać. Ksiądz jednak twierdził, że dla Stalina, jak i dla Hitlera zobowiązania, przysięgi, paktów nie mają żadnej trwałej wartości. Dla swojej korzyści, w razie potrzeby łamią je bez żadnych skrupułów. Drą dokumenty jak świstek papieru. Moi koledzy nie wiedzieli, jak zareagować na moją relację. Bardzo ufali temu, co słyszeli w podchorążówce. Że połączone siły angielsko-francuskie pokonają niemiecki Wehrmacht. Jeżeli Stalin żywiłby nawet wobec Polski zbrodnicze zamiary, ulęknie się sił mocarstw zachodnich.

Po moim powrocie do domu, Mama posłała brata do Starostwa, aby zobaczył, czy Tata jeszcze tam jest. Skoro dotąd nie wrócił, mógł gdzieś pojechać w powiat. A to obecnie jest takie niebezpieczne. Zbyszek uspokoił Mamę. Tata jest u siebie w biurze, a z nim inni urzędnicy. Był bardzo zajęty, nie miał czasu rozmawiać z nim. Domyśliłem się, że wojska nieprzyjacielskie szybko się zbliżają i pracownicy Starostwa wykonują na polecenie Województwa niezbędne czynności. Mama głośno wyrażała swoje przewidywania odnośnie zachowania się Niemców po ich ewentualnym wkroczeniu do Tłumacza. Pamiętała pierwszą wojnę światową, widziała postępowanie okupacyjnych armii. Ale do tego chyba nie dojdzie, przecież nasi sojusznicy nie zawiodą nas. Mogą w każdej chwili bombardowaniem ze swoich samolotów zatrzymać i zniszczyć siły wroga.

Minęła pora obiadowa, gotowe jedzenie stało na płycie kuchennej, ale nie usiedliśmy do stołu w oczekiwaniu na Tatę. Obiecał, wychodząc rano, że przyjdzie

na obiad. Ale wciąż go nie było. Stałą, codzienną ambicję Mamy stanowiło podawanie Tacie świeżych, dopiero co ugotowanych potraw. Nie chciała z tego zrezygnować nawet dzisiaj. Posłała więc znowu brata do Ojca, aby ponaglił go do przyjścia. Wróciwszy, Zbyszek powiedział, że tak jak przedtem, wszyscy urzędnicy są razem w gabinecie Ojca, na podłodze leżą jakieś posegregowane papiery, akta, które stopniowo palą w piecu. Tata nie wie, kiedy wróci do domu. Ta wiadomość wstrząsnęła nami. Jeżeli palą akta, to znaczy że nasze położenie jest beznadziejne. Nie ma już co liczyć, że w końcu nasi sprzymierzeńcy przyjadą Polsce z pomocą. Mama posłała przez brata gorący obiad Tacie do biura. Ale on, zdenerwowany i zaabsorbowany swoją pracą, nie chciał go jeść. Co się w tym Starostwie naprawdę dzieje? Zastanawialiśmy się, jak i wcześniej uzupełniając swoje domysły. Może nie chodzi o zbliżających się Niemców, tylko o jakieś niepokoje w ruskich wsiach i trzeba podjąć odpowiednie zarządzenia. Ale w takim razie, po co palić akta? A może to nie są akta, tylko jakieś inne papiery? Kto wie, czy Anglicy i Francuzi nie myślą o jakimś desancie lotniczym w naszych stronach, aby zaskoczyć wroga i Starostwo musi przygotować do tego należyte warunki. Po przemyśleniu trzeba było te hipotezy odrzucić jako nieprawdopodobne. Jednak one, jak we wcześniejszych godzinach, wciąż nie dawały nam spokoju w tę niedzielę.

Z oddali dobiegały odgłosy bombardowań lub wystrzałów armatnich. Trudno przychodziło je rozróżniać. A pogoda wciąż trwała. Słoneczna i ciepła. Kiedy indziej cieszyłaby, lecz teraz nie. Gdyby lato, na błotnistych, rozmokłych drogach niemieckie czołgi i pojazdy wojenne nie mogłyby przeć naprzód tak szybko. Deszcz byłby nas ratował, ale on nie pokazywał się od tygodni. Ciągące do Rumunii wehikuly prawie ustały. Od czasu do czasu przejeżdżał jakiś samochód, ciągnąc za sobą tumany pyłu. W parku zatrzymał się jakiś oddział naszego wojska, żołnierze zaczęli pokazywać się na ulicach. Ich widok wpływał uspokajająco na podnieconych i zasmuconych tłumaczan. A samo miasto jakby wyciszało się, jakby przybierało swój zwykły wygląd w niedzielne popołudnia i wieczory. Ale to był pozór. Bo w każdym domu trwał niepokój, twoga połączone z bezpodstawną nadzieją, słabą i nikłą, że losy wojny nagle się odmieniają, że zaczniemy zwyciężać, odepchniemy wroga i przy pomocy sprzymierzeńców zniszczymy go.

Na dworze zrobiło się ciemno, nadciągała noc, a Taty wciąż nie było. Przejęci tak długą jego nieobecnością, czekaliśmy wytrwale na niego. Co chwilę patrzyliśmy na zegar. Wskazówki, jakby na złość bardzo wolno posuwały się naprzód. Podczas dnia było nam, mimo wszystko, jakoś lżej na duszy w tę niedzielę, ale teraz robiło się coraz ciężiej, groźniej. Jedna tragiczna myśl goniła drugą, albo nagle nadchodziła całkowita bezmyślność. Przeważnie w milczeniu siedzieliśmy w jadalni, przy stole. A gdzieś daleko znowu spadały bomby, huczały wybuchy. Minęła dziesiąta. I wreszcie usłyszeliśmy otwieranie wejściowych drzwi, potem kroki w sąsiednim pokoju. Tak, to był Ojciec. Wszedł do jadalni. Jakże był zmieniony na twarzy. Wprost nie do poznania. Zszarzały, postarzały. Milczał, a my wlepiliśmy w niego wzrok. Nic nie mówiąc, wyjął z kieszeni

banknoty, położył je na stole, a do Mamy łamiącym się ze wzruszenia głosem powiedział: To są moje trzymiesięczne pobory. Ostatnie. Więcej ich nie otrzymam. Dziś rano Sowietci wtargnęli na terytorium Polski. Wbili nam nóż w plecy.

Zmartwieliśmy. Doznaliśmy uczucia, jakie zapewne ma człowiek spadający w skalistą przepaść, tonący pogrążający się w otchłani morskiej, lub pogorzelec patrzący na zgliszcza swojego domostwa.

Dziś, po tylu latach, które upłynęły od tej tłumackiej niedzieli, ostatniej w niepodległej Polsce, wciąż mam ją w żywej pamięci i uważam za najtragiczniejszy dzień podczas wojny, którą musieliśmy toczyć. Dotąd wszystkie nasze kalkulacje, nadzieje, zwątpienia, obawy łączyły się z Niemcami. Nawet przewidując najgorsze, widzieliśmy je w hitlerowskim, brunatnym kolorze, a tu nagle zalewa nas czerwona fala bolszewizmu, o której nie myśleliśmy, do której nie ustosunkowywaliśmy się. Wszelkie kombinacje, plany runęły. Teraz już jest oczywiste, że wojnę przegraliśmy. Co będzie z naszą Ojczyzną? Co się z nami stanie?

A to wejście do pokoju załamanego, milczącego Ojca i późniejszą jego hiobową wieść uważam za największy wstrząs swojego młodzieńczego życia.

Gdy usiadł zasypaliśmy go pytaniami. Ten poranny telefonogram z Województwa powiadał o agresji sowieckiej i polecał zniszczenie wszelkich akt, które bolszewicy mogliby wykorzystać przeciw interesom Państwa i bezpieczeństwu obywateli powiatu tłumackiego. Jeszcze istnieje pośrednia łączność telefoniczna między Stanisławowem a placówkami granicznymi. Przejście do Rumunii przez Zaleszczyki jest dotąd nie obsadzone przez Sowietów, tu i ówdzie nasze wojsko stawia opór najeźdźcom, ale podtrzymywanie go nie ma żadnego sensu, polskie najwyższe władze państwowe opuściły kraj. W naszej rozmowie głównym tematem był los Ojczyzny, jej przyszłość. Ale w końcu należało pomówić o nas samych. Co robić? Podobno niektórzy prominenci tłumaccy myśleli o ucieczce do Rumunii. Może i my powinniśmy tak uczynić? Mieliśmy do dyspozycji samochód i niemniej w ostatnich dniach

ważną benzynę, której w sprzedaży zabrakło. Tata był zdecydowanym przeciwnikiem wyjazdu z Tłumacza. Przecież musi nad wszystkim czuwać, nad porządkiem, bezpieczeństwem mieszkańców. Musi zadbać, aby wszyscy uprawnieni otrzymali trzymiesięczne pobory, a Urząd Skarbowy wymaga jego zlecenia. Sam już swoje pensje wziął: nie może dopuścić, aby inni pozostali bez środków do życia.

Sowietów należy się spodziewać w Tłumaczu chyba pojutrze. Jutro będzie jeszcze czas, aby wszystko spokojnie przemyśleć, załatwić najważniejsze sprawy. Przygnębieni, przybici siedzieliśmy przy stole pogrążeni we własnych myślach. Przez okna, w ciemnościach nocy, widniały odległe łuny pożarów. W końcu Mama namówiła Tatę, aby się położył. Tyle przeżył tej niedzieli. A jutro czeka go znowu ciężki dzień. Zawsze sypiałem w swoim pokoju, ale tej nocy nie chciałem być sam. Przeniosłem się na tapczan w sypialni rodziców. Będzie nam śmiej i przyjemniej, gdy nie rozdzielimy się w nadchodzących godzinach. Leżąc, nie mogłem zasnąć. Myślałem: straciliśmy państwo, niepodległość, ustabilizowany byt; teraz przyjdzie nam istnieć w niewoli pod dwoma zaborcami. Zaledwie dwadzieścia lat trwała wolna Polska, którą kochaliśmy bardzo, zachęceni nauką i przykładem rodziców, kapłanów, wychowawców. Przypominało się mi wszystko, co czytałem i słyszałem o sowieckiej Rosji, o bolszewikach, o masowych mordach, których dokonywali, o ofiarach Stalina i innych komunistycznych zbirów. Rozbudzona wyobraźnia widziała ich okrucieństwa, przed jakimi nie cofną się w Polsce. Jak postąpią z moim Ojcem? Czy dadzą mu spokój? Był w Tłumaczu ogólnie szanowany, ceniony, nikomu nie wyrządził żadnej krzywdy, każdemu starał się pomóc, ale czy to będzie miało jakiś wpływ na decyzje bandyckich, nowych władz? Czy tak, jak u siebie, będą zamykać kościoły, więzić księży, likwidować seminaria duchowne?

Przewracałem się z boku na bok. Tata też nie spał. Zawsze miał trudności ze snem, a jakież musiały być one dzisiaj. Dobiegała północ. Kończyła się ta nigdy nie zapomniana, straszliwa niedziela. Ta ostatnia, nasza tłumacka niedziela w wolnej Ojczyźnie. □

## Sagi rodzinne

### Ze wspomnień małolata

Tadeusz Bodniak

Tłumacz w oczach małolata wydawał się wówczas wielką metropolią. Ulice szerokie, a domy dostojne i bogate. Przez okres ostatniego półwiecza nie miałem sposobności skonfrontowania swego wyobrażenia z rzeczywistością, mimo wielokrotnego przejazdu tuż obok w drodze do Bułgarii. Dlatego też mój opis zdarzeń ma nieco inne wymiary, z pewnością jednak podobne do wspomnień czytelników mego pokolenia z tamtych stron.

Mieszkaliśmy w Pałahiczach na tzw. „Pohorilu”. Wieś duża, rozpostarta nad rzeką Tłumaczyk wi-

jąca się u podnóża pasma gór od północy, a od południa gościniec wiodący ze Stanisławowa. Tu mieszkamy przemiennie, wiosną i latem, w jesieni zaś i w zimie w Tłumaczu, gdzie ojciec mój prowadzi swój warsztat krawiecki (uczeń P. Zdanowicza). Układ taki wynikał z trudności komunikacyjnych (rowerem) w okresie jesiennych słoń i dość srogich zim. Rodzice byli jeszcze na dorobku, nie starczało im środków na kupno lub budowę własnego domu w Tłumaczu. Mimo dość prymitywnych warunków, w Pałahiczach żyło nam się dobrze, prawie wczasowo. Życie zarobkowe i kulturalne mieszkających tu nielicznych rodzin polskich m. innymi: Stebelskich, Woroszczuków, Sapów, Malitowskich i czterech braci mego ojca skupiało

się wokół majątku ziemskiego hr. Dzieduszyckiej i Poseltowej (Austriaczka lub Niemka) oraz Kółka Rolniczego prowadzonego społecznie przez mego ojca.

W niezatartej jeszcze pamięci wspominam szereg przedstawień, śniadań i wieczorków okolicznościowych, organizowanych przez skromną mniejszość polską w pałacowych pomieszczeniach lub ogrodach dworskich z inspiracji i zaangażowania p. Wartanowicz – żony zarządcy majątku. Jedną z ostatnich takich imprez było widowisko (dziś zwane „światło i dźwięk”) w Dniu Święta Morza w parku nad „bajorkiem”. Recytacje wierszy, pieśni patriotyczne i sztuczne ognie były jakby ostatnim akordem i znakiem końca „czegoś wielkiego” dla polskiej zbiorowości tej wsi.

Z perspektywy lat czas ten wspominam jako okres beztrudnych zabaw, a jednocześnie wielkiej lekcji patriotyzmu i miłości Ojczyzny.

31 sierpnia 1939; jutro idę po raz pierwszy do szkoły. Pakuję tornister, mój ojciec zaś uzupełnia drewniany kuferek (pojemnik osobistych rzeczy żołnierza). Jutro też są Jego Imieniny – Bronisława. Na twarzy matki widzę smutek i niepokój, a w koszykowej kołysce leżą moje dwie siostry 3-miesięczne bliźniaczki dziwnie spokojne. Popołudnie upalne, niebo bezchmurne, jedynie łagodny powiew wiatru niesie z okolicznych lasów i pól zapach leszczyny i traw. Na podwórku ustawiono drewniane ławy i stoły zastawione jadłem i napojami. Przybywają pierwsi goście, stryjowie z żonami i "kuferkami". Twarze surowe, pełne niepokoju, tajemnicze. Kobiety z zawilgoconymi oczami krzątają się wokół, za szczególną uprzejmością zachęcając swoich mężów do poczęstunku. Po chwili przybywają również sąsiedzi – Ukraińcy. Twarze ich i oczy mają jednak inny wyraz od tych, którzy za chwilę wyruszą w nieznaną podróż na podstawie kart mobilizacyjnych. Czas upływa szybko, nastrój chwili udziela się też tym ostatnim. Wśród gwaru rozmów, tu i ówdzie słowa „to nie potrwa długo” łudzą nadzieją. Słońce czerwona tarczą zachodzi już za wysokimi topolami, kiedy pieśń zaintonowana przez mego ojca – Solenizanta „musiałem cię zostawić, pojechać w świat daleki...” wywołuje poruszenie i płacz kobiet. Mężczyźni ujmują drewniane kufarki, ruszają w drogę na stację kolejową Pałahicze, aby wieczorem zameldować się w swoich jednostkach. Ojciec w 48 pułku piechoty w Stanisławowie.

Zapadła noc, długo nie mogłem zasnąć bo w głowie miałem kłębowisko myśli. Zdałem sobie sprawę, że jest to koniec beztrudnych dni 7-letka, a początek niewiadomych, które miały nastąpić.

I nastąpiły! Po nocy krótkiej, niemal bezsennej, odświętnie ubrany udałem się do szkoły odległej około 1 km od miejsca zamieszkania na inaugurację roku szkolnego. Uroczystość była podniosła choć b. krótka. Po modlitwie dyr. szkoł (nazwiska nie pamiętam) włączył radio z którego płynęły komunikaty o napaści Niemiec na Polskę. Po kilku patriotycznych zdaniach i słowach otuchy wy-

głoszonych przez dyrektora rozeszliśmy się do domów. Wydarzenia następnych dni były coraz bardziej przygnębiające. Gościniec ze Stanisławowa przez Tłumacz w kier. Horodenki ożył wszelkimi pojazdami z uciekinierami z Centralnej Polski gdzie toczyły się walki, a pojedyncze auta dostojnych dam i panów po krótkim odpoczynku w majątku hr. Dzieduszyckiej były obiektami zazdrości bądź nienawiści pałahickich chłopów. Komunikaty radiowe z frontu były coraz bardziej niepokojące. Główne bastiony obrony w Centralnej Polsce zajmowały wojska niemieckie. Wśród uciekinierów cywilnych zaczęli pojawiać się rozbitkowie w mundurach Wojska Polskiego wypytywani przez matki i żony o los swoich najbliższych, którzy poszli na wojnę.

Przygnębienie narastało wśród polskiej mniejszości zamieszkałej w Pałahiczach, gdy zaczęły się budzić uspięne widma nacjonalizmu większości etnicznej. Zaczęły narastać akty przemocy szczególnie w stosunku do pojedynczych żołnierzy-rozbitków. Akty te były dowodem kończącej się państwowości polskiej na tych ziemiach. Kielich goryczy Polaków dopełniony został w niedzielę 17 września podstępym wkroczeniem wojsk sowieckich na nasze ziemie.

O moim ojcu nie było żadnych wiadomości. Czy żyje?

(c.d.n.)



Rodzina Bodniaków. Tłumacz 1943 r  
Autor u góry w środku.

# Historia

## Powrót

### Franciszek Petrus (1898-1983)

*Rozpoczynamy druk fragmentów książki autobiograficznej. Autor zmienił imiona i nazwiska opisywanych postaci w Tłumaczu.*

*Redakcja*

Był piękny czerwcowy dzień, skąpany w blaskach łagodnego jeszcze słońca, pełen życia ludzkiego i gwaru ptasiego. (...) Ostra rzeźwiąca woń kwiatów z pobliskich ogrodów i aromat kwitnących wokół akacji, unosiły się w powietrzu, drażniąc przyjemnie nozdrza i pobudzając pierś do pełnego oddechu. Wysoko na tle błękitnego nieba krążyła trójka jastrzębi, zataczając z dala od siebie duże koła na podniebnych szlakach, rozkoszując się słońcem i swobodą. Niekiedy od łąk dolatywał klekot bociani zmieszany z miarowym, jednostajnym klepaniem kosy, zagubionego gdzieś w zieleni łąk kosiarza.

Od czasu do czasu w ten wiosenny rozgwar wplatały się głucho szybkie uderzenia młotków z pobliskiej kuźni. Na budowie wrzało pracowite życie. Wzniesione dokoła budynku rusztowania, niby misterna siatka pajęczna, oplatały ogromną gorzelnię, którą od szeregu tygodni przerabiano na młyn parowy, odlewnię żelaza i warsztaty kowalskie. Ludzie jak mrówki uwijali się na dole przy stosach cegieł, piasku i cementu oraz przy dołach do gaszenia wapna. Z rusztowań dochodziło bez przerwy niecierpliwe wołanie murarzy o cegły, wapno i zaprawę. Jednak tempo pracy, pomimo ciągłych nawoływań z rusztowań, nie ulegało wcale przyśpieszeniu. Wszystko płynęło wolno, równo i miarowo, powiedzieć nawet można, uroczyście.

Posuwając się wolno po wznoszącym się w górę rusztowaniu Kowal, obarczony dziesięcioma cegłami, ułożonymi na tak zwanej kozie, piął się coraz wyżej, przytrzymując się poręczy rusztowania, które za każdym stąpieniem skrzypiało żałośnie. Perlisty pot zalewał mu niekiedy oczy, a rączki kozy wrzynały się w barki i gniotły boleśnie obojczyki. Chwilami uczuwał tak potężny ucisk na kolana, iż zdawało mu się, że nogi załamują się pod tym ciężarem i że runie z rusztowania.

Z trudem dotarł do trzeciego piętra, ułożył starannie cegły na rusztowaniu i już po odsapnięciu szykował się do zejścia w dół – kiedy zegar z widocznej w Rynku wieży cerkiewnej zaczął wolno i donośnie wybijać dwunastą godzinę. Z kościoła parafialnego zaczęto dzwonić na Anioł Pański. Przeciągle, długie wołanie – obiad! – rozległo się po całej budowie, na placach ze wszystkich stron budynku, na rusztowaniach i wewnątrz gmachu. Ludzie, jak mrówki, zaczęli się wysypywać ze wsząd, zdążając w stronę domów lub sadowiąc się w cieniu drzew na posiłek i odpoczynek.

Kiedy rusztowanie opróżniło się całkowicie z ludzi Kowal wszedł po dachu z żelaznej blachy na najwyż-

sze rusztowanie przy ścianie szczytowej, usiadł tu wygodnie, zaczerpnął pełną piersią powietrza, zapuszczając wzrok swój daleko w jasny, błękitny horyzont.

Widział stąd siną smugę lasu rysującego się w dali na wschodnich wzgórzach, ciągnących się daleko ku brzegom Dniestru. Ten las to „Kahawa” – nazwa jakaś tajemnicza i niezrozumiała, której dźwięk wywoływał w myślach Kowala jakieś dziwne, niewytłumaczalne uczucia. Ileż to razy tam błędził w poszukiwaniu konwalii i irysów. W tej chwili nawet poczuł w nozdrzach – nie wiadomo czemu – jakby ostrą woń konwalii i charakterystyczny odurzający zapach kopytnika.

W południowo-wschodniej stronie na horyzoncie widział kopiec, czy też mogiłę z kamienną figurą, która – jak mówili ludzie – miała wyobrażać św. Teklę. Coś, gdzieś słyszał o tym, że jest to jedna z trzech mogił wołoskich z czasów bitwy pod Obertynem. Druga taka mogiła ma znajdować się pod Chocimierzem, a trzecia pod samym Obertynem. Nigdy tam nie był i nie widział tego, ale pięknie i mądrze by było coś przeczytać o tym, coś na pewno dowiedzieć się o tych dawnych czasach. Raz napomknął o tym w czasie lekcji historii nauczyciel – mówiąc, że nasze miasto było już wówczas siedzibą starostwa i że ówczesny starosta wiódł pod Obertyn jakiś zbrojny oddział, ale gdy tam przybyli, było już po bitwie. Chłopcy nie wierzyli temu, bo nauczyciel bił kijem za nieodrabianie lekcji i zakazał przychodzić do klasy uczniom nieprzygotowanym z lekcji historii. Nie lubiano go i dlatego nie wierzono też temu co mówił.

Te myśli przypominały coś innego Kowalowi. Zwrócił się w drugą stronę miasteczka.

W odległości około trzystu metrów znajdował się dom jego rodziców. Widział stąd doskonale otwarte na oścież drzwi kuźni i gołębie grzebiące wraz z kurami na podwórzu. Widział w cieniu jesionów studnię, z której w tej chwili ktoś obcy wyciągał żórawiem wiadro wody. Zdawało się Kowalowi, że słyszy wyraźnie skrzypienie żórawia. U wejścia do domu leżał stary, poczciwy pies Cygan, wygrzewając się w słońcu. Kowal szukał wzrokiem już nieco zaniepokojony ojca, który w tym czasie powinien był już wrócić do domu. I oto właśnie zauważył go, jak w świątecznym ubraniu, z nieodstępną cygarnicą w ustach i dymiącym w niej papierosem, powolnym krokiem zbliżał się ulicą ku domowi.

Serce zaczęło bić żywiej Kowalowi. Co też przyniósł ojciec? Czy rozstrzygnęły się jego losy co do dalszej nauki? Spojrzał w stronę pięknego, okazałego gmachu szkoły ludowej, który dziś wydawał mu się ładniejszy i przytulniejszy niż zwykle. Jakoś dziwnie i nieoczekiwanie skojarzyły się w nim myśli i uczucia, które go przed chwilą ożywiały, ze sprawą szkoły. Czy będzie mógł jeszcze chodzić do szkoły, – czy będzie mógł czytać chociażby o tym, o czym przed chwilą myślał patrząc na tę mogiłę. Poczuł koło serca jakiś dziwny skurcz wewnętrzny i jakby lęk. Coś go ścisnęło za gardło i przyśpieszyło bicie serca.



Wstał i spojrzął jeszcze raz wokoło – na pola, na rozległe łąki, na miasteczko i krokiem wolnym zaczął schodzić po rusztowaniu w dół.

Niepewny i pełen niepokoju stanął po chwili na progu kuźni.

Dobrze że jesteś – zgadnął ojciec – byłem u kierownika, ale słyszeć nie chce o wypisaniu ciebie ze szkoły. Coś, jak nagły niepohamowany wiew wiatru, uderzył Kowala, poczuł ogromną radość, graniczącą niemal z uniesieniem. Więc ziściło się. Będzie mógł jednak uczyć się. Gdyby nie wstyd przed sobą samym, byłby się rzucił ojcu na szyję, byłby ucałował te twarde, spracowane ręce – za tę dobrą nowinę, za ten błogosławiony dzień w jego życiu. Szybko zjadł obiad, z uśmiechem przyjął uwagę matki, że trzeba skończyć przynajmniej szkołę ludową, by dostać się do rzemiosła i że dlatego kierownik nie zgodził się na wypisanie go ze szkoły – i jakby ze skrzydłami u ramion ruszył szybko w stronę budowy.

Dziś, w tym przełomowym dniu swego życia poczuł jakiś niewytłumaczony przyływ energii i nieopisaną wprost radość. Po raz pierwszy od kilku tygodni, dzisiejszy dzień nie dłużał mu się. Ani się spostrzegł – jak szybko upłynęło popołudnie. Myślami swymi tkwił gdzie indziej. Często z wysokiego rusztowania zwracał wzrok swój w stronę tak dobrze widocznego gmachu Szkoły Ludowej. Oczywiście swej wyobraźni widział i odczytywał dobrze mu znany, wypisany dużymi czarnymi literami napis: „Szkoła Ludowa Męska”, a po drugiej stronie: „Szkoła Ludowa Żeńska”. Coś dziwnego działo się z nim, jakaś nić dawniej przerwana zadzierzgała się na nowo i to coraz mocniej. Spoglądał też od czasu do czasu, jakby ukradkiem i nieśmiało, w stronę parku miejskiego. Tam był gmach magistratu, czyli – jak po polu ludzie mówili – gmina, i tam też mieściło się gimnazjum. Czego też tam mogą uczyć – myślał Kowal – niosąc na barkach swych cegły po skrzypiącym rusztowaniu. Kto tam może chodzić na naukę do tego gimnazjum, pewnie synowie bogatych i zamożnych rodziców i to tylko najmądrzejsi? Było to dla niego coś tak nierealnego i niedostępnego, że po prostu nie wiedział jak i co o tym sądzić. Nieraz słyszał, jak elegancko ubrani w mundurki studenci mówili o łacinie i grece i, nie wiadomo dlaczego, wyobrażał sobie, że musi to być coś szalenie trudnego i mądrego zarazem.

Ze wstydem przyznał się przed samym sobą, że nigdy nie był w parku i nie widział z bliska tego gimnazjum. Po zakończeniu pracy udał się do kantoru kierownika budowy, oznajmił, że z dniem jutrzejszym przestaje pracować, gdyż musi wrócić do szkoły, ponieważ nie zgodzono się wypisać go, przed skończeniem szóstej klasy, ze szkoły.

Pobrał swój czterodniowy zarobek w wysokości trzech koron i dwudziestu halerzy i targany dziwnymi uczuciami ruszył w stronę domu. Tu wręczył matce zaoszczędzone w maju dziesięć koron i zarobek z ostatnich czterech dni i po umyciu się i przebraniu ruszył do miasta.

Było jeszcze zupełnie jasno i utrzymywała się piękna pogoda. Kowal szedł w stronę szkoły z dziwnym niepokojem i lękiem, zupełnie jak wówczas, kiedy zbliżał się do kościoła, idąc do pierwszej spowiedzi.

Nie tak dawno, bo zaledwie w pierwszych dniach maja, przestał chodzić do szkoły, a już wszystko to, co

tu w tym gmachu szkolnym przeżył, co widział, było dla niego jakieś dalekie, dziwne, ale też i drogie zarazem. Pamiętał dobrze ów wrześniey dzień, kiedy ubrany w nowe cągowe ubranie, prowadzony przez matkę za rękę, szedł do szkoły, by się zapisać do pierwszej klasy. Oto – czuje jeszcze zapach ubrania, które wówczas włożył po raz pierwszy. Widzi długie, wysokie korytarze i ogromne sale szkolne. Pamięta rozmowę matki z nauczycielem na temat, jak to tu do tej samej szkoły razem chodzili na naukę. Widzi jeszcze ten ogromny – jak mu się zdawało – Rynek miejski, na którym wieśniaczki siedziały w długich szeregach z koszyczkami, w których tak pięknie lśnił granat dojrzałych śliwek. Ach, jak łakomym wzrokiem patrzył wówczas na dobrane gruszki i jabłka. Pamięta jeszcze dziś dokładnie jak matka wysupłała z chusteczki dwa halerze i kpiła mu za nie dwanaście śliwek i jak sprzedająca kobieta dwiema rękami równocześnie nabierała po sześć śliwek, podając mu je.

A jakież smaczne były te śliwki.

Kowal nie spostrzegł się, jak stanął przed szkołą. Podwórce było czyste i starannie zamiecione. Wzdłuż parkanu rosły piękne kasztany, tuż obok nich znajdowały się wygodne ławki, na których w czasie przerw siadywali uczniowie. Kowal wślizgnął się chyłkiem na dziedziniec i usiadł na jednej z ławek.

Dwupiętrowy budynek szkolny swymi oknami, jakby dziesiątkami ogromnych oczu, patrzył przenikliwie na Kowala, jakby chciał zajrzeć w głąb jego duszy i przeniknąć całą jego istotę.

A jeśli nie z duszą, to z sercem Kowala na pewno działo się coś dziwnego. Biło szybko i niespokojnie. Jak też go tu przyjmą jutro. Co powiedzą koledzy, co powie kierownik i co powiedzą nauczyciele. Na to wspomnienie drgnął lekko.

Ileż to razy musiał wprost spod kija, nie czekając końca egzekucji, uciekać z klasy przez korytarz i podwórce, by potem przez szereg dni nie pokazywać się w szkole i wałęsać się z innymi kolegami po polach. Miało to swój urok też, ale nie miało nic wspólnego z nauką. Najgorsze były lekcje matematyki i historii. Nic też dziwnego, że nikt nie lgnął specjalnie do nauki.

W ciągu siedmiu lat nauki Kowal z trudem dobrnął do piątej klasy. W maju tego roku postanowił rzucić szkołę i zacząć pracować. Trafił na budowę.

Najpierw zarabiał siedemdziesiąt halerzy dziennie, a w drugim tygodniu podwyższono mu dniówkę na osiemdziesiąt halerzy. Praca była ciężka. Zaczynała się o szóstej, o ósmej półgodzinna przerwa śniadaniowa, potem przerwa obiadowa od dwunastej do pierwszej i potem praca popołudniowa do godziny szóstej.

Z początku duże pęcherze wyskakiwały mu na dłoniach, po pęknięciu których skóra paliła boleśnie, ale z czasem przyzwyczyił się do tego.

Zmęźniał przy tej pracy, skóra na czole i twarzy opaliła mu się i chociaż nieraz upadał ze zmęczenia, nie dawał tego poznać po sobie i zawsze był wesoły i uśmiechnięty. Pracując i przyczyniając się częściowo do utrzymania rodziny, usamodzielniał się i dojrzał w sobie. I teraz przyszła ta sprawa ze szkołą.

Wróciwszy do domu, uporządkował odszukane książki i zeszyty i z głową pełną burzliwych myśli udał się na spoczynek.

Nie spał tej nocy spokojnie. Coś się w nim zwichnęło i w żaden sposób nie mógł wrócić do równowagi. Przewracał się do późnych godzin nocnych z boku na bok, zanim nareszcie usnął.

Obudził się bardzo wcześnie, jeszcze raz wszystko przemyślał, skupił się w sobie i z gotową już decyzją zaczął się szybko ubierać.

Zjadł śniadanie i wypatrzywszy moment, gdy nikt na niego nie zwracał uwagi, ruszył odważnie w stronę szkoły tak, jak podświadomie nieraz człowiek idzie na spotkanie swemu przeznaczeniu, nie zdając sobie z tego sprawy.

Czuł się trochę nieswojo z książkami pod pachą. Odwykł już od tego.

Przeszedł szybko przez dziedziniec szkolny unikając spotkania z kolegami.

Szybko wszedł na pierwsze piętro i po chwili był już w swojej dawnej dobrze znajomej piątej klasie. Było tu wszystko po staremu. Ten sam stół, ta sama tablica, te same obrazy na ścianach, te same mapy, których nigdy nie mógł zrozumieć i które zupełnie inaczej wyglądały w czasie przerw niż wówczas, gdy stało się przy nich w czasie lekcji geografii, oko w oko z nauczycielem.

Przytłoczony tymi myślami Kowal usiadł w ostatniej ławce, obok Michasia Romańczuka, z którym też siedział razem w czasie swoich ostatnich lekcji przed przerwaniem nauki.

Ledwie zamienili ze sobą kilka słów, gdy rozległ się głos dzwonka.

Do klasy wszedł nauczyciel historii, zarazem gospodarz klasy. Wszyscy powstali. Po odmówieniu modlitwy nastąpiło sprawdzenie obecności. Kowal zdecydowanie, z zaciśniętymi ustami podszedł do stołu, za którym siedział nauczyciel.

Dawniej Kowal stając przed stołem ustawiał się tak, by mieć na wszelki wypadek zapewnioną drogę w stronę drzwi, gdyby nauczyciel zamierzał poczęstować go trzcina, jak to zdarzało się dość często. Dziś nie patrzył w tę stronę wcale.

Spokojnie, według przyjętej formułki, ozajmił, że nie był obecny w szkole, gdyż pracował na budowie. Obecnie będzie nadal uczęszczał do szkoły.

– Doskonale, przyjacielu – powiedział nauczyciel – dobrze, dobrze, idź na miejsce, siadaj. Mieliśmy spokój, gdy cię tu nie było.

Klasa przyjęła to wybuchami głośnego śmiechu. Kowal, mocno zażenowany, wrócił do swojej ławki. Czuł, jak krople potu spływają mu po grzbiecie i jak cały płonie ze wstydu. Opanował się jednak.

Słuchał z zaciekawieniem lekcji historii, a szczególnie opisu bitwy grunwaldzkiej. I tu stało się coś, co w zwykłym życiu klasy było czymś nadzwyczajnym. Gdy nauczyciel skończył swój wykład i zapytał, kto z uczniów powtórzy go, Kowal podniósł rękę, co u nauczyciela wywołało zdziwienie, a całą klasę wprawiło wprost w osłupienie.

Kowal z początku głosem drżącym, a później, w miarę opanowywania się, głosem równym i donośnym, powtarzał wykład uzupełniając go jeszcze szczegółami, którym nauczyciel nie podał w swym wykładzie, nazywał on bitwę grunwaldzką bitwą narodów słowiańskich, w której brali udział nie tylko Polacy i Litwini, ale

też rycerze smoleńscy i Tatarzy, których przyprowadził Witold.

Klasa słuchała z zapałem. Gdy Kowal skończył, nauczyciel pochwalił go i zapytał, gdzie to wszystko wyczytał.

– Czytałem jakąś książkę, ale tytułu nie pamiętam, odparł zażenowany Kowal.

Dzwonek oznajmił koniec lekcji. Minęła pierwsza godzina nowego okresu życia Kowala. Znowu widział całą klasę i wszystkie znajdujące się w niej przedmioty w innym świetle. Wszystko było jakoś dziwnie przyjazne i jakby uśmiechnięte. Nawet ta czarna tablica, którą nieraz uczniowie łzami swymi skrapiali na lekcjach geometrii, dziś – jak to się zdawało Kowalowi – uśmiechała się do wszystkich życzliwie. Kowal siedział, przytłoczony wrażeniami, w ławce.

– Nie pójdziemy na podwórce? – zapytał Romańczuk.

– Nie, zostanę w klasie – odpowiedział Kowal.

Romańczuk wyjął ze swej lnianej, wyszywanej torby z książkami, duży kawał razowego chleba, przełamał go na pół i podał część Kowalowi. Zapach razowego chleba polechtał przyjemnie nozdrza Kowala. Wziął chleb, podziękował i zaczął go jeść łakomie. Och! Gdyby ten pierwszy dzień mieć już za sobą – myślał. Równocześnie inna myśl trapiła go i nie dawała spokoju. Bał się jej jeszcze, nie chciał nawet przed samym sobą zdradzać się z nią. Nie! Nie! Jeszcze nie czas – mówił do siebie. Dalsze trzy lekcje przeszły szybko i bez żadnych szczególnych wrażeń.

Kowal wciąż czuł na sobie wzrok nauczycieli, którzy przypatrywali mu się od czasu do czasu z pewnego rodzaju zdziwieniem i niedowierzaniem. Na ostatniej lekcji była nauka religii. Lekcja ta odbywała się oddzielnie dla Polaków, Rusinów i Żydów.

Jeszcze w czasie tej lekcji musiał Kowal wysłuchać złośliwych uwag katechety, którego wyjątkowo z całego grona nauczycielskiego najbardziej nie lubił.

– Co, zechciało ci się majstrem być, kawalerze?

– Nie, chciałem tylko zacząć szybciej pracować, by pomóc rodzicom – odpowiedział.

– No i co, pomogłeś? – zapytał katecheta. Dużo zarobisz, co? Przecież wiesz, że bez ukończenia szkoły nawet szewcem nie można obecnie zostać.

Kowal słuchał cierpliwie i oczekiwał końca lekcji jak wybawienia z ciężkiej udręki.

Po lekcjach wracał do domu w takim nastroju jakby się pozbył jakiegoś nieznośnego ciężaru.

W ciągu następnych dwóch dni nauki Kowal oswoił się z nowym otoczeniem. Oswobodził się z tego ucisku, który go utrzymywał przez kilka dni jakby w żelaznej obręczy.

W następnym tygodniu na jedną z lekcji wszedł kierownik szkoły z katechetą. Porozmawiali szeptem z nauczycielem i kierownik zwrócił się do uczniów z zapytaniem, kto chciałby zdawać pod koniec tego jeszcze roku egzamin wstępny do gimnazjum. Oczywiście ze względu na krótki czas i konieczność gruntownego przygotowania się do egzaminu, wchodzi w rachubę tylko najlepsi uczniowie. Wybrano tylko pięciu, z uwagi na to, że już dawniej zwerbowano odpowiednią ilość kandydatów z czwartej klasy.

Kowal podniósł, nie bez obawy, rękę.

– Co powiesz? – zapytał kierownik.

– Chciałem zapytać, panie kierowniku, czy mógłbym też wpisać się na kurs przygotowawczy?

– Ty? – zapytał kierownik. Przecież chciałeś się w ogóle wypisać ze szkoły i przerwać naukę. Masz już czternaście lat, to trochę za późno. No i skąd wiesz, że skończysz piątą klasę. A przecież wiesz, że tylko najlepsi uczniowie mogą zdawać do gimnazjum. Cała klasa w skupieniu przysłuchiwała się tej rozmowie.

– Ja bardzo proszę, panie dyrektorze, ja będę się uczył. Ojciec zapłaci za kurs przygotowawczy.

Kierownik znowu poszeptał coś z księdzem i nauczycielem i zwrócił się do Kowala.

– No dobrze, tylko pamiętaj: musisz się bardzo pilnie uczyć. Będziesz kończył piątą klasę i równocześnie będziesz chodził na kurs przygotowawczy.. Tylko dobre stopnie mogą cię uratować. Spróbujemy.

– Dziękuję, powiedział szybko Kowal i odetchnął z ulgą.

Wracał podniecony do domu. Po obiedzie, jak lis dookoła swej nory, krążył wokół kuźni. Wreszcie zdobył się na odwagę, wszedł i widząc nowe koła, na które już ojciec naciągnął obręcze, ustawił jedno z nich na ręcznej wiertarce i rozpoczął wiercenie dziur w obręczy. Ojciec od czasu do czasu spoglądał na niego. Wreszcie zapytał:

– No, jak tam w szkole?

– Dobrze – odpowiedział, i jednym tchem dodał – zapisałem się na kurs przygotowawczy, do egzaminu wstępnego do gimnazjum. Będę zdawał pod koniec tego miesiąca lub w pierwszych dniach lipca. Ojciec popatrzył na niego i zamyślił się.

– Dobrze, jakoś będziemy sobie radzić. Może coś będzie z tego. Zawsze to lepsze niż tak ciężko pracować. Może zostaw tę robotę i idź uczyć się. Jakies miłe, błogie ciepło spłynęło na Kowala po tych słowach.

– Nie, to dopiero od jutra. Dziś jeszcze tu pomogę trochę. (c.d.n.)

## Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

### Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c.d.)

Ks. Lesław Jeżowski

#### Ulica Jagiellońska i jej sąsiedztwo

Obecnie wracam ulicą Koliniecką do rynku, skręcam w prawo na przecinającą go ulicę Piłsudskiego i nią idę w kierunku południowym, w stronę Horodenki. Nie będę opisywał po kolei zabudowań z prawej, a potem z lewej strony tej ulicy, bo mało z nich pamiętam. Rzadko kiedy tamtędy przechodziłem. Za tym narożnym zajazdem, który wspomniałem obchodząc dookoła rynek, a na przeciw którego stała kamienica Szankowskich wraz z apteką, uszeregowano się kilka nieciekawych domów, prawdopodobnie żydowskich, z lokalami sklepowymi. Jedyнным rzucającym się w oczy, piętrowym budynkiem, była tu Szkoła Powszechna z licznymi, dużymi oknami. Kierowali nią: Marceł Molisak, później, już za mojej bytności w Tłumaczu, Michał Dębiec, Olga Wiśniewska. Grono nauczycielskie składało się z wielu członków. Wymieniłem już p. Emilię Hrapkowiczową, H. Isakiewiczową, Moszyńską-Błażkową, Finkową, Skowrońską, dodać trzeba E. Dubicką, Mołczanowską, Wiśniewskiego, Macka, Misięckiego i innych. Nie jestem pewny, czy częściowo w tej szkole był zatrudniony p. Smoluchowski, który zasadniczo uczył śpiewu i muzyki w Seminarium Nauczycielskim. Mieszkał gdzieś przy ulicy Słowackiego lub jednej z jej przecznic, bo widywałem go stale zdążającego rano, ze skrzypcami w ręce, do swoich dydaktycznych zajęć. Nie wyglądał na człowieka zdrowego. Bardzo szczupły, blady, często kaszlał. Przy chodzeniu lekko pochylał się na bok, od czasu do czasu potraszając głową jakimś nerwowym odruchem. Ciemne włosy czesane na bok przylegały mu do głowy. W zimie nosił

plaszcz z futrzanym kołnierzem, a obuwie okrywał filcowymi, jasnymi kamaszami, których wówczas mężczyźni chętnie używali. Podczas urządzanych w sali Sokoła akademii wykonywał na scenie, zwykle przy akompaniamencie fortepianu, utwory skrzypcowe. Jego żona, przystojna, gładko się czesząca brunetka, ubierająca się skromnie, ale ze smakiem, sprawiała wrażenie Włoszki lub Greczynki. Obydwoje państwo Smoluchowscy bywali na rzadkich w Tłumaczu imprezach kulturalnych, również razem uczestniczyli w nabożeństwach kościelnych. Dzieci nie posiadali.

Inni nauczyciele tłumaccy też nie ograniczali się do zajęć dydaktyczno-pedagogicznych, ale szeroko udzielali się społecznie. Zwłaszcza chętnie występowali w przedstawieniach amatorskich. Np. p. Macek wyspecjalizował się w rolach charakterystycznych i komicznych. Bardzo wysoki, szczupły, łysy, w okularach, gdy pojawiał się na scenie Sokoła, wywoływał swoimi ruchami i wypowiedzianymi kwestiami żywiołowy śmiech. Innego pokroju aktorem był p. Wiśniewski. Dążył do psychologicznego pogłębienia odtwarzanych przez siebie postaci, studiował epokę w której one żyły, aby możliwie wiernie oddać w granej sztuce atmosferę danego środowiska i minionych lat. Do dzisiaj pamiętam ich role, podobnie jak grę towarzyszących im pań nauczycielek.

Dokąd istniało w Tłumaczu Seminarium Nauczycielskie, działała przy nim szkoła ćwiczeń, tzw. „ćwiczeniówka”, do której uczęszczały dzieci przeważnie miejscowej inteligencji. Po zamknięciu ćwiczeniówki wszystkie one musiały się przenieść do jedynej odtąd w Tłumaczu Szkoły Powszech-

nej. Taką translokację przeszedł również mój brat, Zbigniew, który czwartą klasę ukończył tam w 1938 roku.

Po drugiej stronie ulicy Piłsudskiego, za apteka Szankowskich, w stronę mostu na Tłumaczyku, sąsiadowało ze sobą kilka domów podobnych do tych z naprzeciwka z tym, że brakło tu jakiejś kamienicy, która mogłaby być pendant do budynku szkoły. Nad rzeczką działała, zdaje się w piątki, łaźnia. Korzystali z niej przeważnie Żydzi, ale niekiedy kąpali się tam również nieliczni gimnazjaliści, a może i biedniejsi niektórzy Polacy. O ile się nie mylę, gdzieś w pobliżu znajdowała się druga żydowska łaźnia.

I już jesteśmy na małym moście nad małą rzeczką o nazwie Tłumaczyk. Właściwie była to płytka struga wolno cieknącej wody, brudnej i cuchnącej. Z pobliskich domów odprowadzano do niej wszystkie ścieki. Gdzieś na lewo znajdowała się rzeźnia również traktująca Tłumaczyk jako swój kanał.

Za mostem, na prawo i na lewo rozciągały się trawiaste łąki. Te po lewej stronie nazywały się Stawiska i rozgrywano na nich mecze piłki nożnej oraz odbywano inne imprezy sportowe. W pobliżu znajdowała się targowica ożywiająca się w jarmarczne środy.

Za Tłumaczykiem rozpoczynała się długa ulica Jagiellońska, wcześniej nazywająca się Horodeńska, a na prawo od niej Cmentarna, przemianowana na Narutowicza. Przejdźmy wpierw Cmentarną. Po obydwóch jej stronach widniały małe, parterowe domki, nie wiem do kogo należące. Po jakichś trzystu metrach dochodziło się do cmentarza, który rozpościerał się na wzgórzu i jego zboczu opadającym łagodnie w stronę miasta. Otaczał go żywopłot z drewnianą bramą wejściową. Do niej dowożono zwykle trumny ze zwłokami zmarłych umieszczone do przystosowanych do tego celu zwykłych wozach, jako że w Tłumaczu nie było karawanu. Czasem, przy znaczniejszych pogrzebach skądś go wypożyczano. Na cmentarzu rosły dosyć liczne drzewa i krzewy. Dużych, murowanych grobowców nie napotykało się wiele. Pierwszy z nich, po prawej stronie ścieżki prowadzącej od ulicy, był miejscem spoczynku Jahna, dawnego właściciela ziemskich dóbr tłumackich. Stał na nim obelisk z czarnego marmuru z odnośnym napisem. W czterech rogach żeliwnego ogrodzenia rosły drzewa szpilkowe.

Tą ścieżką-chodnikiem dochodziło się prostopadłe do głównej alei cmentarnej, która grzbietem wzgórza biegła z południa na północ. Przy jej południowym krańcu wznosiła się kaplica ze skromną mensą ołtarzową wewnątrz i obrazem nad nią. Nie przypominam sobie, aby kiedyś znajdowała się w tej kaplicy przed pogrzebem trumna ze zmarłym. Kondukty pogrzebowe zmierzały w Tłumaczu z domu nieboszczyka wprost na cmentarz, zatrzymując się czasem w kościele na egzekwie. W wieczór Wszystkich Świętych płonęły na posadzce kaplicy liczne świece i znicze. Obok kaplicy był pochowany w grobowcu ks. Sawa, długo-

letni proboszcz tłumacki, już przedstawiony w tym moim opisie. Przy alei widniały grobowce Czecho-wiczów i innych znanych rodzin tłumackich, w pobliżu – Szankowskich, Halkiewiczza itd. Ale przygniatającą większość grobów tworzyły zwykłe mogiły z drewnianymi krzyżami. Groby Polaków mieszały się z mogiłami Rusinów. Nie panował w Tłumaczu zwyczaj, praktykowany w niektórych miastach, częstego nawiedzania cmentarza – zwłaszcza w niedzielne popołudnia. Tłumaczanie chodzili na cmentarz masowo tylko w uroczystość Wszystkich Świętych. Chociaż nikt z moich krewnych nie spoczywał na nim, wraz z Rodzicami i bratem dołączałem się do wędrujących przed Dniem Zadusznym na cmentarne wzgórze. Kiedy indziej, ale już sam, wybierałem się tam, aby pomyśleć o życiu w wieczności, zaznać niezwykłego nastroju, pomodlić się za zmarłych.

Całą ulicę Narutowicza przejechałem powozem bodajże raz, gdy jakąś słoneczną jesienią udawaliśmy się całą rodziną w odwiedziny do pani Antoniny Korczak Horodyńskiej, dziedziczki w Przybyłowie. Zaledwie wymieniłem nazwę tej wsi, przypomniał się mi mój klasowy kolega, Nehemiasz Schwarz, którego ojciec miał w niej karczmę, a sam Nehemiasz korzystał w Tłumaczu ze stacji u Sary Berkower. Przy wypełnianiu różnych ankiet i kwestionariuszy musieliśmy podawać opiekunowi klasy swoje dane personalne, a wśród nich miejsce stałego i czasowego zamieszkania. Schwarz wymieniał je swoim charakterystycznym, trochę chrapliwym, grubym głosem, i dlatego utkwily mi w pamięci: Przybyłów i Sara. Ulica Jagiellońska, chociaż bardzo długa, miała ciągłą zabudowę po obudwu swoich stronach. Dosyć często ją przemierzałem, pieszo lub jakimś pojazdem, bo w pobliskiej Piławszczyźnie mieszkała moja ciotka, Zofia Srokowa, kierująca tamtejszą szkołą. Mimo to, kiepsko już dziś z moją znajomością tej ulicy. Wiem, że stały przy niej chyba tylko parterowe domy. Początkowo Jagiellońska wznosiła się lekkim łukiem w lewo. W domu z werandą po prawej stronie mieściła się agencja włoskiego towarzystwa ubezpieczeniowego w Trieście. Zaraz po naszym sprowadzeniu się do Tłumacza, jej kierownik, Żyd, przyszedł do ojca i zdołał go namówić do ubezpieczenia całej naszej rodziny. Dosyć daleko za tym domem, ale po tej samej stronie, miał zakład ślusarsko-kowalski pan K. Kraus. Zdaje się, że jego żona była Francuzką, a przy rodzinie mieszkała niezamężna krewna, którą zapamiętałem dzięki futrzanemu kołnierzowi przy zimowym płaszczu, mającemu kształt jakby stuły skrzyżowanej na piersiach. Któres z dzieci Krausów studiowało we Lwowie medycynę (Karol – przyp. red.).

Jeszcze gorzej przedstawia się w mojej obecnej pamięci lewa strona ulicy Jagiellońskiej. Nie przypominam sobie nikogo z jej mieszkańców, a o domach mogę znowu napisać tylko tyle, że były małe, parterowe, podobne do siebie. Prawą stroną ulicy wiódł wzdłuż domów chodnik ułożony z kamiennych płytek, lewa strona była go pozbawiona. Niedaleko jej początku

szła w bok mała przecznica, o nazwie Ormiańska. Przy niej mieszkali pp. Sokołowscy. Stąd wywodziła się p. Wolańska, żona sekretarza Starostwa i jej siostra, rezolutna Zofia, uczennica gimnazjum. Ona to, jak wcześniej napisałem, miała w roku szkolnym 1938/39 zawładnąć sercem swego dyrektora, p. Ksawerego Bułkowskiego, który nie bacząc na ogromną różnicę wieku, ożenił się z nią, dając Tłumaczowi nieoczekiwaną sensację. U Sokołowskich przebywał na stacji mój kolega, Józef Kmiotek, syn urzędnika sądowego z Obertyna. Ja sam na tej ulicy nigdy nie byłem. Ze słyszenia wiem, że miał przy jej końcu stać młyn Sztarka i mieszkać listonosz, p. Radłowski.

Po przebyciu całej ulicy Jagiellońskiej, znajdowało się pomiędzy łąkami i polami strome wzniesienie zwane Basztą. Przez nie, zakolem, prowadziła droga dalej, do niedalekiej już Pilawszczyzny. Pieszko skracało się rozległy zakręt na przelaj. Ze szczytu Baszty roztaczał się szeroki widok na Tłumacz i okolicę. Stąd miasto wydawało się większe niż było w rzeczywistości. Dominowały nad nim dwie wieże kościelne, wyróżniały się wyższe od innych, Seminarium Nauczycielskie i kamienica Riesla w Rynku.

#### Tłumacz i tłumaczenie w ogólności

Widokiem z Baszty wypadałoby zakończyć mój opis tłumackich ulic i ich mieszkańców. Ale może jeszcze warto dodać pewne ogólne spojrzenie na Tłumacz i jego obywateli.

Tłumacz leżał w odległości ponad dwudziestu kilometrów na południowy wschód od Stanisławowa. Przed 1939 r. liczył około 9 tysięcy mieszkańców. Większość z nich stanowili Polacy, następnie sytuowali się Żydzi, po nich Rusini. Innych mniejszości w zasadzie nie było. Architektonicznie i urbanistycznie Tłumacz nie przedstawiał się korzystnie. Nie znajdowały się też w nim obiekty godne większej uwagi i szerszego zainteresowania. Pod względem urządzeń komunalnych miasto było bardzo ubogie. Nie posiadało wodociągów, kanalizacji, zorganizowanego wywozu śmieci. Korzystało z prądu stałego o napięciu 110 V, który tylko późnym wieczorem osiągał swoją nominalną wartość. Oświetlenie ulic nie odpowiadało potrzebom, a mniejsze bocznicę w ogóle go nie miały. Na żadnej ulicy nie położono twardej nawierzchni, a płyty na wąskich chodnikach pozostawiały wiele do życzenia. Prywatny aparat telefoniczny mało kto posiadał. Przez miasto nie przechodziła linia komunikacji autobusowej. Jedyne w nowo zbudowanych domach znajdowały się łazienki.

Mimo tych prymitywnych warunków, w Tłumaczu przyjemnie się żyło jego mieszkańcom. Panowała w nim, jeżeli nie rodzinna, to na pewno dobrośniewcza atmosfera. Wszyscy niemal znali się z widzenia, wszyscy podobnie obchodzili i przeżywali święta i uroczystości kościelne, państwowe, rodzinne. Byli chętni do okazywania sobie pomocy. Codziennego rytmu życia nie zakłó-

cały jakieś napady, rabunki, gwałty. W mieście było bezpiecznie w dzień i w nocy. Sprawcy pewnych drobnych kradzieży dokonywanych przeważnie w piwnicach lub komórkach bywali szybko ujmowani.

Dzisiaj, gdy przypominam sobie Tłumacz sprzed pięćdziesięciu lat, wydaje mi się, że pewnym mankamentem stosunków międzyludzkich było izolowanie się od siebie w kontaktach towarzyskich trzech narodowości: Polaków, Żydów i Rusinów. Na terenie pozatowarzyskim tego zjawiska nie obserwowano się. W urzędach, warsztatach, szkołach współpracowały one ze sobą zgodnie i przyjaźnie. Ale w życiu prywatnym izolowały się od siebie. Polacy nie bywali w domach żydowskich i na odwrót. Również Rusinów nie zapraszało się z okazji imienin, świąt. Przy czym wszyscy uważali to za rzecz całkowicie normalną i nikomu nie przychodziło do głowy, aby ją zmienić. A przecież ile można by było skorzystać z rozmów prowadzonych we własnym mieszkaniu z wykształconymi, kulturalnymi Żydami, obywatelami w świecie, których wszak w Tłumaczu nie brakowało. Nieoficjalne kontakty z Rusinami pozwoliłyby lepiej poznać ich sposób rozumowania, patrzenia na historię, dowiedzieć się o tradycjach i zwyczajach narodowych co przynajmniej w minimalnym stopniu złagodziłyby ich od wieków trwający kompleks niższości, który wybuchnął później nienawiścią i rzezią Polaków podczas wojny.

W Tłumaczu nie występował antysemityzm. Jak to kilkakrotnie zaznaczałem, dopiero w drugiej połowie lat trzydziestych dotarły do miasta idee „Samoobrony Narodu”, czasopisma czytawanego przez młodzież, ale one zmierzały do gospodarczego uwolnienia się Polaków od supremacji żydowskiej, co wielu akceptowało, a nie do rasistowskiej walki z Żydami, wszak od pokoleń żyjącymi na jednej ziemi wspólnie z nami.

Zachowywanie się tłumaczan w miejscach publicznych nie raziło. Nie widziało się na ulicach pijanych, młodzież w ogóle stroniła od alkoholu. Nikt, może poza tzw. marginesem społecznym, nie używał wulgarnych wyrażań. Kobieta nie zapaliłaby na ulicy papierosa, nie pozwoliłaby sobie na przejawy czułości ze strony towarzyszącego jej mężczyzny. Nie niszczone umyślnie ogrodzeń, oświetlenia, ławek, ogłoszeń itp.

O posiadaniu przez byłych mieszkańców Tłumacza dobrych doznań i wspomnień z przeżytych tam lat świadczy fakt, że oni, jako pierwsi, utworzyli we Wrocławiu przy Towarzystwie Miłośników Lwowa, swój własny klub „Tłumacz”, zachęcając swoim przykładem, aby obywatele innych miast dawnych Kresów Wschodnich poszli ich śladem. Ponadto tłumaczenie zbiorowo i indywidualnie odbyli już szereg podróży do miasta swego dzieciństwa i młodości, wciąż czując się z nim uczuciowo związani. Mimo upływu tylu lat, mimo że dawny Tłumacz tak bardzo różnił się od dzisiejszego. □

## Tłumacz w latach wojennych 1939-1945

### Wspomnienia i refleksje mieszkańca Pilawszczyzny – część II

Władysław Rzucidło

(część I była drukowana w „ZT” Nr 3 (11) 1998 r.)

Po klęsce wrześniowej, którą kończy na opisie zmobilizowania go do Ludowego Wojska Polskiego pozostawiono nas na pastwę dwóch zaborców. Najbardziej ucierpiała ludność polska zamieszkała na Kresach Wschodnich, albowiem została poddana okrutnym represjom dwóch zaborców i dodatkowo przez nacjonalistów ukraińskich. W tych trudnych latach naszych nieszczęść nasi sojusznicy wykazali wobec nas obojętność, a niekiedy i cynizm. I tak np., gdy ujawniona została zbrodnia w lesie katyńskim, premier Churchill i prezydent Roosevelt usiłowali wyciszyć głosy protestu w polskich kołach emigracyjnych. Przed konferencją teherańską w 1943 r. premier Churchill w rozmowie z premierem Mikołajczykiem oświadczył: „Musi pan zrozumieć, iż Wielka Brytania i Stany Zjednoczone nie rozpoczną wojny z Rosją dla obrony wschodnich granic Polski”. Na konferencji w Teheranie prezydent Roosevelt podczas tajnej rozmowy ze Stalinem oddał Związkowi Radzieckiemu wschodnie ziemie Polski. W dniu 7 lutego 1945 r. w Jałcie prezydent Roosevelt wobec Stalina i Churchilla złożył następujące oświadczenie: „Mnie polskie granice nie obchodzą, nie obchodzi mnie też kontynuacja polskiego rządu na emigracji” (vide: „KATYŃ” – Janusz Z. ZAWODNY). Tysiące polskich sierot, których rodzice zginęli w więzieniach, łagrach i transportach na bezkresnych obszarach kraju GUŁag-u w latach 1940-1941 – na mocy porozumienia Sikorski-Majski – znalazło schronienie w Indiach, Palestynie, Kenii, Meksyku i innych państwach. Tylko bogate Stany Zjednoczone Ameryki Północnej nie wyraziły zgody na przyjęcie polskich sierot, ponieważ prezydent tego kraju nie chciał urazić Stalina. Interes polityczny wziął górę nad sierocą niedolą.

A my znaleźliśmy się w rejonie Żytomierza, Berdyczowa, Korostenia, które były terenem koncentracji oddziałów Wojska Polskiego. Rozlokowano nas w Lewkowie, w zabudowaniach stajennych dawnych właścicieli majątków ziemskich. Fizyczne warunki egzystencji w tym obozowisku, tak pod względem żywienia jak i higieny sanitarnej, były opłakane. Mój pobyt na Żytomierszczyźnie zapoczątkowany został tępieniem insektów. Stwierdziłem wtedy, iż żywotność tych pasożytów jest wprost proporcjonalna do stopnia ludzkiej nędzy.

Gdzieś w połowie czerwca 1944 r. zostałem wezwany na wojskową komisję lekarsko-kwalifikacyjną. Uznano mnie za zdolnego do służby wojskowej, umieszczając moje nazwisko na liście kandydatów do szkoły oficerskiej. Na zgłoszoną przeze mnie uwagę, iż proponowana szkoła oficerska ze względu na moje niskie wykształcenie nie mieści się w granicach moich możliwości intelektualnych, otrzymałem odpowiedź: „Nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z was oficera”. Kilka dni później ostrzygli mi głowę, zaprowadzili do bani (rodzaj łaźni polowej), przydzielili

czystą bieliznę, letni mudnur polowy, buty, rogatywkę z „kuricą”, wsadzili do wagonu pociągu osobowego i zawieźli do Riazania. W Riazaniu w tym czasie znajdowała się Oficerska Szkoła Piechoty WP. Rianzań powitał nas słoneczną, upalną pogodą. Zakwaterowano nas w dużych, wieloosobowych salach dawnych carskich koszar.

Program codziennych zajęć wg czasu moskiewskiego przedstawiał się następująco: o godz. 7-mej pobudka, po czym pieśń poranna: „Kiedy ranne wstają zorze”. Następnie gimnastyka na powietrzu bez względu na porę roku, niekiedy przy akompaniamencie dętej orkiestry. Po gimnastyce golenie, mycie i przygotowanie do śniadania. Śniadania, jak i pozostałe posiłki dzienne odznaczały się jednostajnością: wodnista zupa jaglana lub kapuśniak, chleb razowy (w niedzielę czasem podawano chleb biały), mikroskopijna porcja masła, także ilość cukru i blaszany kubek herbaty. Po śniadaniu ćwiczenia wojskowe zgodnie z regulaminem dnia. O godz. 13-ej obiad: najczęściej zupa rybna, kilka łyżek kaszy jaglanej, polanej skąpo olejem, kromka chleba i kubek herbaty. Po obiedzie dalszy ciąg szkolenia zawodowego aż do zmierzchu, następnie powrót do koszar i czyszczenie broni. Kolacja o godz. 20-ej jakościowo podobna do śniadania. Po kolacji nauka z przedmiotów przerabianych w czasie ćwiczeń. Przed capstrzykiem pieśń wieczorna „Nie rzucim ziemi”.

W ciągu kilku miesięcy mego pobytu w szkole podchorążych nie spożyłem grama mięsa. Zupełny brak potraw mlecznych, jarzyn, surówek, owoców oraz monotonia spożywanych posiłków były przyczyną schorzeń skorbutowych u mnie i u niektórych kolegów. Przy ogromnym wysiłku fizycznym na polach ćwiczeń, zimową porą niekiedy przy temperaturze -30°C, byliśmy stale głodni, toteż za płotem koszarowym za zaoszczędzony cukier i mydło u kobiet handlujących kupowałem czasem tzw. „lepioszki” (placki ziemniaczano-mączne).

Rianzań w tamtym czasie był miastem samotnych kobiet, wdów, sierot i starców. Żyjący mężczyźni byli w okopach lub w niewoli. Stanowiska pracy obsadzone były wszędzie przeważnie kobietami. Życie mieszkańców tego miasta w owym czasie odznaczało się szaryzłą, ubóstwem i smutkiem.

W pierwszych dniach sierpnia 1944 r. dowiedzieliśmy się, że w Warszawie wybuchło powstanie.

Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok upłynęły nam szybko. Nasz kurs dobiegł końca. W połowie stycznia 1945 r. opuciliśmy Rianzań. Po promocji na stopień oficerski zostałem skierowany na stanowisko dowódcy plutonu strzeleckiego do 11-go Pułku Piechoty, w którym brałem czynny udział w walkach frontowych do końca wojny. Koniec wojny zastał mnie nad Łabą. Jak z powyższego wynika, Niemcy nie przestrzegali

przykazań swego ojca sztuki wojennej, Clausewitza, lecz walczyli z nami z zaciekle fanatyzmem do końca wojny. W zdobytych okopach nieprzyjaciela znajdowaliśmy często puszki po konserwach, butelki po winie, skórki z pomarańcz. Żołnierze Adolfa Hitlera aż do ostatnich dni wojny byli dobrze zaopatrzeni i dobrze odżywiani, czego my, żołnierze zwycięskiej 1-szej Armii Wojska Polskiego, mogliśmy im tylko pozazdrościć.

Po zakończeniu działań wojennych przez pewien czas stacjonowaliśmy w rejonie Trzcina-Zdroju. We wrześniu służbę wojskową pełniłem już w Gdańsku. Mimo ogromnych zniszczeń wojennych w tym mieście zachowałem w pamięci pewien sentyment do tego historycznego i zarazem pięknego miasta. Kilka razy nadarzyła mi się okazja odwiedzić w tym mieście pp. Burczyńskich, pp. Żurawskich i pp. Bożemskich.

W jesieni 1946 r. zachorowałem na przewlekłe zapalenie oczu, z którym miejscowi okuliści nie mogli sobie poradzić, wobec czego skierowali mnie na leczenie szpitalne w Warszawie. W końcu 1946 r. przy zastosowaniu penicyliny nastąpiła pewna poprawa. Wojskowa komisja lekarska uznała mnie jednak za niezdolnego do służby liniowej i zaleciła mi dalszą służbę w oddziale kwaterunkowo-budowlanym w Warszawie. W takich oto okolicznościach los związał mnie z Warszawą, miastem, w którym upłynęło mi prawie całe aktywne życie i wg wszelkiego prawdopodobieństwa dożywał tu będą kresu swoich dni. W ciągu tych wielu lat przeżyłem tu różne chwile – dobre i złe.

W Warszawie w pierwszych latach powojennych zaczęły na nowo powstawać różne szkoły między innymi ogólnokształcące wieczorowe szkoły dla dorosłych. Zamiar uzupełnienia mego czteroklasowego wykształcenia kielkował u mnie od dawna, lecz dotychczasowy połowy charakter mojej służby wojskowej znacznie utrudniał mi realizację tego planu. We wrześniu 1947 r. postanowiłem rozpocząć naukę w wieczorowej szkole dla dorosłych organizowaną przez TUR. Ponieważ o świadectwo szkolne na szczęście mnie nie pytano, więc postanowiłem zapisać się do I-szej klasy gimnazjalnej, opuszczając świadomie cztery klasy szkoły podstawowej. Wykazany przeze mnie hazard kosztował mnie później niemało potu i zdrowia, zwłaszcza w zakresie nauk matematyczno-fizycznych. Były to trudne lata w moim życiu, gdyż trzeba było przerabiać materiał przewidziany w programie bieżących zajęć szkolnych, odrabiać ogromne zaległości z opuszczonych kilku lat nauki w szkole podstawowej i jednocześnie pracować na chleb. Z zaistniałych możliwości dokończenia się korzystali głównie ludzie młodzi, o różnych życiorysach, którym wojna zwichnęła lata młodości. Panował wtedy powszechny zapał do nauki, toteż uczyliśmy się gorliwie, pomagając sobie nawzajem. Na wiosnę 1949 r. jako politycznie nie skryształizowany w stopniu porucznika zostałem zwolniony ze służby wojskowej, a następnie wylany na ulicę z zajmowanej kwatery służbowej.

W lutym 1950 r. zdałem egzamin dojrzałości w Państwowym Liceum Ogólnokształcącym dla Dorosłych o systemie semestralnym. 1-go października, po uprzednim zdaniu egzaminu konkursowego, rozpocząłem studia stacjonarne na Wydziale Inżynierii Lądowej Politechniki Warszawskiej, które ukończyłem w 1954 r., otrzymując dyplom inżyniera budownictwa lądowego.

Na jakąkolwiek pomoc materialną w czasie studiów od nikogo liczyć nie mogłem, toteż władze uczelni przyznały mi stypendium akademickie, które na pierwszym roku studiów wynosiło 210 zł, na drugim 240 zł i na trzecim 270 zł. Nie było to wiele, ale ponieważ nie paliłem papierosów, nie piłem alkoholu i nie wydawałem pieniędzy na dziewczyny, więc z trudem jakoś wiązałem koniec z końcem. Czasem dorabiałem parę złotych na udzielaniu korepetycji z matematyki. Na czwartym roku studiów podjąłem pracę zawodową. Po trzyletnim odbyciu nakazu pracy zdecydowałem się na rozpoczęcie studiów II-go stopnia na tym samym wydziale, specjalizując się w zakresie konstrukcji budowlanych, które ukończyłem w 1961 r., uzyskując dyplom magistra inżyniera budownictwa lądowego. Z końcowego etapu studiów zachował mi się w pamięci fragment rozmowy z kierownikiem Katedry Organizacji i Mechanizacji Budowy, który ni stąd, ni zowąd zadał mi pytanie: ile pan ma lat? 38 – odpowiedziałem. Proszę pana – rzekł do mnie kierownik – Kennedy zaledwie o kilka lat starszy od pana jest już prezydentem, a pan jeszcze studiuje! Prawdopodobnie kierownik katedry nie orientował się, jak różne były drogi życiowe prezydenta Kennedy'ego i moje.

Po studiach przez długie lata pracowałem w biurze projektów na stanowisku starszego projektanta konstrukcji budowlanych.

W 1982 r., korzystając z uprawnień kombatanckich, postanowiłem przejść na emeryturę. Mimo nie najlepszego stanu zdrowia biorę aktywny udział w życiu organizacji kombatanckich. W czasie służby cywilnej w 1978 r. mianowano mnie na stopień kapitana, a w 1983 r. – na stopień majora.

W latach powojennych kilkakrotnie odwiedziłem miejsce rodzinne. W 1995 r. Zarząd Miejski w Tłumaczu zorganizował Zjazd Tłumaczan, na który otrzymałem zaproszenie. Uczestnikami zjazdu byli wyłącznie Ukraińcy, rozproszeni w różnych zakątkach ziemskiego globu. Po części artystycznej w wykonaniu Huculskiego Zespołu Pieśni i Tańca, przedstawiciele władz miejskich i zaproszeni goście wygłosili okolicznościowe przemówienia. W wypowiedziach niektórych uczestników zjazdu nie zabrakło akcentów nieprzyjaznych wobec Polski i Rosji. Odniosłem wrażenie, że w umysłach tych kilku osób zakorzeniona jest głęboko irracjonalna i fanatyczna ideologia Doncowa. Kilkundniowy pobyt w Tłumaczu pozwolił mi zapoznać się z realiami życia tłumaczan w nowej, ukraińskiej państwowości.

Wśród miejscowej ludności istnieje wyraźny podział polityczno-ideologiczny, antagonizm wyznaniowy, a poza tym ludność ta żyje w warunkach głębokiego kryzysu ekonomicznego.

Któregoś dnia odwiedziłem moje postarzałe gniazdo rodzinne, w którym nikt wtedy nie mieszkał. Dzisiejsza miejscowość mego dzieciństwa w niczym nie przypomina dawnych lat. Sędziwe dęby na leśnych pagórkach, które przetrwały różne burze dziejowe, zostały wyrąbane, a zielone łąki zaorano po wojnie w czasie kolektywizacji. Tylko łyse pagórki i kilka ubogich, oddalonych od siebie chat, oparły się powojennym przemianom. Tam, gdzie niegdyś tętniło życie – dzisiaj na tym posępnym pustkowiu panuje cmentarna cisza.

W ostatnich dniach końącego się lata 1995 r. pożegnałem Tłumacz i żalosne szczątki dawnej Piławszczyzny. □

## Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księży

### Był darem Chrystusa dla Kościoła Ksiądz Leszek January Dublewicz (1933-2000)

Ks. Stanisław Turkowski

*„Podziwu godzien jest człowiek, ale równie podziwu godna jest gleba, na której wyrósł.”*  
(Antoine de Saint Exupery)

To stwierdzenie myśli naszą kieruje ku polskim Kresom Wschodnim okresu międzywojennego i wojennego, gdzie swoje dzieciństwo przeżył zmarły 5 marca br. w szpitalu we Wrocławiu ks. Leszek Dublewicz ze Zgromadzenia Księży Salwatorianów i najlepiej znany pod imieniem zakonnym Ojciec January.

Gleba Wschodnich Kresów Rzeczypospolitej, to specyficzna gleba, uprawiana przez wieloletnie tradycje rodzinne, chrześcijańskie, kulturowe, patriotyczne i narodowe, przekazywane pieczołowicie przez dom, szkołę i Kościół. Dziedzictwo to, które ukształtowało nieprzeciętną osobowość Leszka Dublewicza, znalazło wyraźne odbicie w jego 42-letniej pracy kapłańskiej na wielu odcinkach życia Kościoła, głównie na Dolnym Śląsku.

Historia i atmosfera polskich Kresów Wschodnich wpisane mocno w naszą kulturę narodową i ojczystą tradycję miały istotny wpływ wychowawczy na dzieci i młodzież tak w okresie międzywojennym w warunkach ustabilizowanego życia społecznego, jak szczególnie wtedy, gdy mieszkańców tamtych ziem dotknęły dramatyczne, a często nawet tragiczne wydarzenia w wyniku wybuchu II wojny światowej we wrześniu 1939 roku i zwłaszcza następstwa trzech okupacji, jakie kolejno tam po sobie następowały.

Te czynniki należy wziąć pod uwagę wówczas zwłaszcza, gdy się wspomina i próbuje ocenić ludzi stamtąd wywodzących swoje korzenie. Różnorodność kultur, języków, wyznań religijnych i trzech katolickich obrządków, jakie tam od wieków się utrwały i rozwinęły, wywarły swoiste piętno na społecznym i kulturowym obliczu tego regionu, tworząc jedność w wielości i dając podstawy rzeczywistego, a nie propagandowego pluralizmu, prawdziwej, a nie obłudnie zakłamanej tolerancji. Międzyludzka solidarność nie była czczym hasłem bez pokrycia, lecz stosowana praktycznie przez ludzi zawsze, a szczególnie w trudnych warunkach wojennych i okupacyjnych. Można dziś śmiało powiedzieć, że Polacy wyrosli na kresowej glebie wnieśli znaczący wkład w kulturę ogólnonarodową w zmienionych już warunkach powojennych, gdy losy ludzkie zaczęły ulegać najrozmaitszym przeobrażeniom.

Dom rodzinny spokojny, w czasie przedwojennym był dla dziecka oparciem bezpiecznym i szkołą wartości chrześcijańskich, społecznych, patriotycznych i narodowych, gdyż tam wielopokoleniowe tradycje, zwyczaje i obyczaje były pieczołowicie zachowane i z troską przekazywane dzieciom i młodzieży. Pod okiem



Ks. Leszek Dublewicz. 29.VI.1958 r.

odpowiedzialnie kochających rodziców mogła dojrzeć i prawidłowo się rozwijać osobowość młodego chłopca, wrażliwego na piękno podolskiej przyrody, nieskażonej jeszcze wówczas, i budzić szacunek dla każdego człowieka, bez względu na pochodzenie, rasę czy wyznanie. Rodzina Bogiem silna i żyjąca wedle zasad moralnych będących przykładem codziennego życia, mogła wychować dzieci na dojrzałych chrześcijan, żyjących w przyjaźni z Bogiem i ludźmi, gotowych do poświęceń i ofiar dla wspólnego dobra.

W takiej to rodzinie nauczycielskiej przyszedł na świat 23 stycznia 1933 r. w Dolinie w województwie stanisławowskim Leszek Dublewicz. Ojciec był kierownikiem miejscowej szkoły, matka nauczycielką. Rodzice mieli czwórkę dzieci: najstarszym był Tadeusz, młodszą Zofia, urodzona w roku 1930, Leszek urodzony w roku 1933 i najmłodsza Danuta. Przed wybuchem wojny państwo Dublewiczowie mieszkali najpierw w Peczeniżynie koło Kołomyi, a następnie w Tyśmienicy. Tutaj ojciec jako oficer rezerwy został powołany do



wojska i przeszedł kampanię wrześniową. Po powrocie do rodziny został w Tyśmienicy aresztowany przez NKWD i wywieziony w głąb Związku Sowieckiego, skąd po zawarciu układu Sikorski-Mołotow, dostał się do armii gen. Andersa i walczył pod Monte Cassino. W tym czasie pani Dublewiczowa wraz z dziećmi przybyła do Tłumacza w województwie stanisławowskim, gdzie w roku 1942 otrzymała pracę nauczycielską. Niedostatek i głód były częstym gościem w domu Dublewiczów, podobnie zresztą jak w wielu innych polskich rodzinach na Kresach. Matka musiała dokonywać wielu wysiłków, by wykarmić i wychować całą gromadkę. Nie zaniedbywała przy tym ich edukacji i formacji chrześcijańskiej. Leszek był wówczas ministrantem w miejscowym kościele parafialnym, pilnie służąc do Mszy św. i dając swoją postawą piękny przykład swoim kolegom.

Front wojenny niemiecko-sowiecki na przełomie marca i kwietnia 1944 r. zatrzymał się właśnie w pobliżu Tłumacza. Podczas jednego z bombardowań miasta pani Dublewiczowa została ciężko raniona i nie mogąc być w należyty sposób leczona, wkrótce potem zmarła. Jej pogrzeb odbył się w Wielką Sobotę 1944 r.<sup>1)</sup> Okres tłumacki w ogłoszonych w „Zeszytach Tłumackich” wspomnieniach tak podsumował ksiądz Leszek: „Często myślami wracam do Tłumacza, bo tam przeżyłem kawałek dzieciństwa i tam pozostał grób mamy.”<sup>2)</sup>

Po śmierci matki dziećmi zajęli się znajomi, a potem krewni. Najstarszy syn, Tadeusz, został wcielony do Armii Polskiej tworzonej na terenie ZSRR, przeszedł szlak bojowy do Berlina i po zakończeniu wojny, w randze oficera, powrócił do kraju. Troje pozostałych: Zofię, Leszka i Danutę brat matki zabrał do Stanisławowa, skąd po roku 1946 w ramach ekspatriacji, pod opieką ciotki Jadwigi Dublewicz przybyli do Oleśnicy na Dolnym Śląsku i zamieszkali obok plebanii przy ulicy Łużyckiej. Tam właśnie poznałem całą rodzinę państwa Dublewiczów. Ciocia Jadwiga była mocno związana z życiem parafialnym, chętnie udzielając się w pracy charytatywnej jako prawa „ręka” księdza dziekana Antoniego Reczucha, który wysoko ocenił jej bezinteresowne oddanie problemom wspólnoty. Zofia była moją uczennicą w Liceum Ogólnokształcącym. Wybitnie uzdolniona, swoją pilnością i pracowitością osiągała najwyższe oceny w pracy szkolnej i z wyróżnieniem zdała egzamin dojrzałości. Była jedną z najlepszych uczennic tej szkoły w tamtych czasach. Leszek mając 13 lat chodził do szkoły podstawowej i był ministrantem w kościele parafialnym. Dobrze ułożony, delikatny i wrażliwy, taktowny i koleżeński zwracał na siebie uwagę nauczycieli i wychowawców – katechetów.

Ojciec po powrocie z Włoch do kraju otrzymał pracę w Dobroszycach koło Oleśnicy, gdzie duszpasterstwo prowadzą księża salwatorianie, z którymi zetknął się młody Leszek Dublewicz i postanowił wstąpić do tego zgromadzenia, by poświęcić się na służbę Bogu i Kościołowi. Poszedł za wewnętrznym głosem powołania, jakie wzrastało w nim zapewne od najmłodszych lat pod wpływem domu rodzicielskiego, szkoły i Kościoła, bowiem te środowiska najbardziej skutecznie oddziałują na formację człowieka i kształtują jego osobowość ludzką i chrześcijańską.

Rodzina, to pierwszy i niezastąpiony czynnik wychowawczy. Szkoła jeśli jest dobrze zorganizowana i

mająca dobrych nauczycieli oddanych sprawie dzieci, stanowi ważne wsparcie dla rodziny w trudnym i odpowiedzialnym procesie wychowawczym, gdyż nie tylko uczy, dając pewien zasób wiedzy, ale przede wszystkim wychowuje, wyrabiając odpowiednie postawy życiowe, co dopiero w wieku późniejszym w należyty sposób doceniamy.

Szkoła kresowa we wspomnieniach repatriantów jawi się jako środowisko, które oprócz podstawowej wiedzy o świecie, dało uczniom zasady etyczne i przygotowało do odpowiedzialności w życiu społecznym. Nauczycieli, często różnych wyznań i narodowości oraz światopoglądów, dzisiejsi dorośli i mocno już wiekiem zaawansowani kresowiaci, wspominają z ogromnym szacunkiem, wdzięcznością i nostalgią, jako tych, którzy w sposób trwały zapisali się w ich pamięci, bo należycie przygotowali swoich podopiecznych do życia i pracy w warunkach trudnych.<sup>3)</sup> Nie ukazywano bowiem młodzieży łatwych perspektyw, uproszczonych sukcesów, ale nastawiano na konieczność walki z przeciwnościami, bo takie było wówczas życie codzienne, które nie rozpieszczało nikogo. Stawiano wymagania, niekiedy trudne i twarde, dostrzegając niełatwą przyszłość.

Kościół w swej misji ewangelizacyjnej, liturgiczno-sakramentalnej i pastoralnej, działając w różnych zmieniających się warunkach, środkami sobie właściwymi, starał się formować postawy wiary, która byłaby zdolna formować styl życia jednostkowego i zbiorowego, ucząc wrażliwości na potrzeby drugiego człowieka, szczególnie w skomplikowanych warunkach okupacyjnych, „gdy pomoc wszelkiego rodzaju była potrzebą każdej chwili. Skupiając dzieci i młodzież w grupach nieformalnych, takich jak grupy ministranckie i koła żywego różańca, starano się wyrabiać w młodych katolikach postawę dojrzałego chrześcijanina, otwartego na potrzeby ludzkie i gotowego przyjąć odpowiedzialność nie tylko za siebie, ale i za innych. Duszpasterstwo Kościoła usiłowało wyrobić wśród wiernych nie tylko umiejętność należytego dostrzegania aktualnych potrzeb, właściwej oceny sytuacji, ale również podejmowania skutecznych działań.

Atmosfera wydarzeń wojennych i okupacyjnych nie pozostawała bez wpływu na kształtowanie się osobowości młodych ludzi, którzy swoje charaktery formowali w warunkach znacznie przyspieszających życiową dojrzałość aniżeli miało to miejsce w okolicznościach, jakie uznajemy za „normalne”.

Lęk przed zsyłką na Sybir przez Sowieców, strach przed aresztowaniem, obozem koncentracyjnym lub wywózką na roboty do Niemiec, po prostu lęk o życie, niepewność losu – były udziałem wszystkich Polaków w owym czasie i udzielały się dzieciom, które żyły w ustawicznym strachu i niepewności, które wypełniały klimat ówczesnego życia Polaków na Wschodzie. Mordy popełniane przez bandy UPA na ludności polskiej wzmagaly atmosferę grozy i w konsekwencji tą dramatyczną sytuacją skłoniły do podjęcia trudnej i bolesnej decyzji opuszczenia rodzinnych stron i wyjazdu w ramach etnicznej czystki obłudnie nazwanej reпатриacją na Ziemię Zachodnie.

Nie była to decyzja dobrowolna ani łatwa, przeżyciem bolesnym, które ponurym cieniem

się na ludzkiej psychice przez następne lata. Był to dramat osobisty, rodzinny i narodowy. Ale zarazem stał się doświadczeniem ubogającym nasze rozumienie dziejów, pojmowanie historii, a zwłaszcza roli polityki światowej ulegającej złowrogim siłom... Ludziom wychowanym na Kresach świadomym wielkich wydarzeń i wielkich przemian gruntownie zmieniających obraz świata oglądany z perspektywy przeżyć i doznanych doświadczeń, te właśnie doświadczenia i przeżycia pozwalają bardziej wnikliwie obserwować bieżące wydarzenia, realnie oceniać rzeczywistość, a zwłaszcza krytycznie patrzeć na rozmaite gry polityczne, obietnice, umowy międzynarodowe i wszelkie traktaty. Możemy powiedzieć, iż była to dla nas przykra, bolesna, ale skuteczna lekcja historii.

Na takiej glebie środowiska kresowego i na takim gruncie wychowania domowego, szkolnego i kościelnego oraz na tak przeżytej „lekcji historii” naszych polskich dramatów, mogła z powodzeniem oprzeć się twarda formacja zakonna Leszka Dublewicza w nowicjacie salwatoriańskim w Bagnie, jego studia filozoficzne i teologiczne oraz przygotowanie do kapłaństwa uwieńczone przyjęciem święceń w Krakowie w roku 1958, aby zaowocować wspanią 42-letnią pracą duszpasterską, przede wszystkim posługą Słowa Bożego w licznych homiliach, kazaniach, rekolekcjach i misjach parafialnych głoszonych z ogromnym zapałem i zaangażowaniem na terenie Dolnego Śląska oraz w wielu innych miejscach, do których kierowała go władza zakonna. W tej właśnie pracy, ofiarnej i gorliwej, można bez trudu odnaleźć potwierdzenie myśli wyrażonej przez znanego duszpasterza akademickiego w Krakowie, Sługę Bożego Biskupa Jana Pietraszkę, który napisał był: „Na drogach trudnych najpełniej rozwija się, wzrasta, dojrzewa i owocuje osobowość człowieka.” Osobowość księdza Leszka Dublewicza wzrosła, rozwinęła się i dojrzała na bardzo trudnych drogach dzieciństwa i młodości, by zaowocować wspanią

plonem. Przeżycia i doświadczenia osobiste, rodzinne, społeczne i ogólnonarodowe zaznaczyły się wyraziście w jego postawie kapłańskiej oraz szczególnie w jego posłudze kaznodziejskiej i misjonarskiej. Ewangelizacja i katecheza gruntowna oraz treści wyznaczane kaznodziejom przez Konferencję Episkopatu Polski na poszczególne lata duszpasterskich programów, były przedmiotem jego niestrudzonych wystąpień na ambonie podczas głoszonych kazań i przemówień, które przygotowywał z niezwykłą starannością i modlitwą osobistą przed Panem. Nie pomijał także sposobności, by mocno podkreślać i zdecydowanie uzasadniać potrzebę zachowania chrześcijańskiej i narodowej tożsamości Polaków dla ocalenia narodowego dziedzictwa i ochrony przed współczesnymi zagrożeniami. Słuchając tych wystąpień można było wyczuć, że ojciec January miał żywą świadomość swego posłannictwa i silną wolę sprostania zadaniom, niełatwym zresztą, jakie Chrystus stawia przed tymi, których wezwał do swojej służby.

W czerwcu 1958 roku uczestniczyłem w Mszy św. prymicyjnej celebrowanej przez księdza Leszka Dublewicza w kościele parafialnym pw. Św. Jana Apostoła i Ewangelisty w Oleśnicy. Licznie zgromadzona wspólnota parafialna pod auspicjami księdza proboszcza i dziekana oleśnickiego Antoniego Reczucha, zgotowała umiłowanemu i dobrze znanemu neoprezbiterowi bardzo gorące, serdeczne przyjęcie, które, jak przypuszczam, zostało udokumentowane stosownym zapisem w kronice parafialnej. Jako cenne pamiątki z tej uroczystości zachowałem ofiarowaną mi przez Prymicjanta fotografię i obrazek z zamieszczonym wiele mówiącym tekstem św. Pawła Apostoła z listu do Filipian: „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia” (4,13) Można więc wnosić, że właśnie w Chrystusie Najwyższym Kapłanie znajdował ojciec January te światła i moce Ducha, dzięki którym mógł tak owocnie pełnić swoją posługę kapłańską.

„Wszystko mogę w Tym,  
który mnie umacnia”  
Św. Paweł



*Ł* błogostawieństwem  
*P*rymicyjnym

*Ks. January Dublewicz*  
Salwatorianin  
Kraków – Oleśnica  
1958 r.

Niepokalanie Poczęta  
módl się za nami.



REDEMPTOR

W mojej pracy kurialnej dość często przy różnych okazjach i uroczystościach kościelnych miałem możliwość spotykać się z księdzem Leszkiem jako kaznodzieją, szczególnie podczas peregrynacji obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej w parafiach naszej Archidiecezji i słuchać jego rzeczowych, pełnych zapału kazań, nacechowanych duchem kapłańskiej żarliwości i wszechstronnym doświadczeniem. Spotykaliśmy się również na uroczystościach ku czci św. Jadwigi Śląskiej w Trzebnicy oraz podczas wizytacji katechetycznych w Bagnie i Obornikach Śląskich. Widywaliśmy się także we Wrocławiu, gdzie przebywając w Domu Księży Salwatorianów przy ulicy Matejki, ojciec January przez kilka lat kierował salwatoriańską grupą misjonarską wyjeżdżającą do poszczególnych ośrodków parafialnych. Będąc przełożonym wspólnoty księży Salwatorianów w Obornikach Śląskich w ciągu ostatnich lat, zasłużył się on wielce dla ożywienia ducha wiary i społecznej miłości wśród miejscowych wiernych, dzięki licznym inicjatywom duszpasterskim, zdobywając sobie powszechny szacunek i uznanie.

Imponujący udział wiernych i około setka kapłanów pod przewodnictwem księdza biskupa Józefa Pazdura w jego pogrzebie tak w Obornikach Śląskich jak i w Bagnie w dniu 9 marca br. najwymowniej świadczą o niezwykłej sympatii i popularności, jaką sobie zjednał ten Kapłan, który rzeczywiście, wedle nauczania Ojca Św. Jana Pawła II, był „darem Chrystusa dla Kościoła”.

Znawcy życia konsekrowanego i fachowcy od kaznodziejstwa zapewne podejmą trud zebrania pozostawionych przez ojca Januarygo zapisków i notatek z

jego wystąpień homiletycznych dla ocalenia od zapomnienia tej pięknej owocnej spuścizny, jako wzór dla potomnych, mówiący o tym, jak można z własnego życia uczynić użytek dla dobra braci, użytek, którego śmierć nie zdoła przekreślić.

Odejdzie księdza Leszka Dublewicza w sytuacji, gdy mówiąc po ludzku mógł jeszcze wiele uczynić dla Kościoła, można by uważać za „przedwczesne”, ale jesteśmy wdzięczni Bogu, że był wśród nas, żeśmy go spotkali na rozmaitych drogach naszego życia i żeśmy zostali ubogaceni jego żarliwą wiarą, chrześcijańską nadzieją i miłością.

Poeta Sęp Szarzyński napisał ongiś: „Nie umarł ten, kto po sobie pamięć zostawił”.

Ksiądz Leszek January Dublewicz pozostawił po sobie dobrą pamięć. Niech więc trwa nie tylko w naszym wdzięcznym wspomnieniu, ale przede wszystkim w naszych sercach i w modlitwie.

1) Powyższe informacje zostały mi udzielone przez Marylę Grabowiecką-Dostalową, której w tym miejscu wyrażam podziękowanie.

2) Tadeusz Kukiz: *Odszedł honorowy obywatel Husiatynia śp. ks. Leszek Dublewicz (1933-2000) Semper Fidelis 3/56/2000 s. 48 n.*

3) *Zob: Szkoła na Kresach Wschodnich we wspomnieniach repatriantów. Praca magisterska Anny Suchorab w WSP Częstochowa 1999. mps opr. 2 części. Zamieszczono również wspomnienia byłych uczennic i uczniów z Tłumacza.*

## Wspomnienia o Kresowych Żydach

### Żydzi miasta Tyśmienicy

Stanisław Pelikan

*Już nie ma tych miasteczek, gdzie szewc był poetą,  
Zegarmistrz filozofem, fryzjer trubadurem.*

*Nie ma już tych miasteczek, gdzie biblijne pieśni  
Wiatr łączył z polską piosnką i słowiańskim żalem.  
Gdzie starzy Żydzi w sadach pod cieniem czereśni  
Oplakiwali święte mury Jeruzalem.*

A. Słonimski, Elegia miasteczek żydowskich

Do wspomnień o ludności żydowskiej mojego miasta skłonił mnie wiszący w moim pokoju stary, szafkowy zegar, dobiegający już prawdopodobnie stu lat, wybijający majestatycznie godziny i ruchem wahadła odmierzający czas, który mija nieubłaganie. Z zegarem tym związane są dramatyczne okoliczności, ale o tym później....

Na ziemiach późniejszej Rusi Czerwonej Żydzi pojawili się już w XI w. Jednak pierwsze wzmianki o nich pojawiają się dopiero w połowie XIV w. Najstarsze wiadomości o Żydach tyśmienickich pochodzą z lat 1486 – 1500, kiedy to pojawiają się pierwsi arendarze w Tyśmienicy (Horn M. Żydzi na Rusi Czerwonej, Warszawa 1975).

W małych miastach o charakterze rolniczym w zajęciach ludności żydowskiej przeważał drobny handel i pro-

ste rzemiosło. Oprócz nielicznej grupy bogatych kupców, handlem zajmowała się spora liczba właścicieli drobnych sklepów i kramarzy.

Ludność żydowska w Tyśmienicy, jak w szeregu innych miast i miasteczek miała swoją synagogę. Znajdowała się ona w pobliżu rynku. Pierwotnie zbudowana drewniana spłonęła w 1764r. Dwa lata później na prośbę Żydów tyśmienickich arcybiskup lwowski Wacław Sierakowski zezwala na budowę nowej synagogi.

Istniejące przepisy zastrzegały jednak „by niewierni Żydowie nie murowali synagogi wystawnej i kosztownej, lecz mierną i średniej miary.” Chcąc osiągnąć wysoką salę modlitewną przy niskiej budowie gmachu obniżano podłogę, nieraz o kilka metrów poniżej poziomu gruntu (Bałaban M., Dzielnica żydowska, Lwów, 1909). W taki sposób również tyśmienicka synagoga uzyskiwała wnętrze imponujące i przestronne, przystosowane do ówczesnej liczby ludności żydowskiej.

Obok synagogi znajdował się od niepamiętnych czasów skrawek gruntu ogrodzony parkanem. Legenda gosiła, że w tym miejscu pewnego piątkowego popołudnia zapadł się narzeczony z narzeczoną wraz z całym orszakiem weselnym w chwili, gdy rabin udzielał im ślubu.

Była też obok synagogi rytualna łaźnia – mykwa. Znajdował się tam również mały budynek, w którym szochet – rytualny rzezak dokonywał uboju.

Tyśmienica odgrywała ważną rolę w życiu ściśle żydowskim. Za czasów autonomii kahalnej Żydów polskich miała wyłonić z siebie delegata na sejm żydowski w osobie "rabi Mojżesza z Tyśmienicy", co świadczy o znaczeniu ówczesnego kahału (Chirowski D., Dzieje miasta Tyśmienicy, Lwów 1938).

Zajmowała też poczesne miejsce w hebrajskiej literaturze oświecenia tzw. *haskali* i wydała uczonego w piśmie hebrajskim i krytyka biblij dr Szymona Bernfelda. Miała też znaczne autorytety rabinackie, które udzielały wielu odpowiedzi na kierowane do nich pytania w kwestiach religijnych.

Z Tyśmienicy pochodził ojciec Zygmunta Freuda – Jakub, który w roku 1844 przybył do Freibergu na Morawach i tam w 1856r. urodził się jego syn Zygmunt (Georg Markus, "Zygmunt Freud", W-wa 1993).

W moich wspomnieniach powracam do minionych lat odtwarzając w pamięci obraz tamtych dni, zdarzeń, ludzi.

W latach trzydziestych w Tyśmienicy żyło 4726 Ukraińców, 1346 Polaków i 1185 Żydów. Jak widać różnica statystyczna między Polakami i Żydami była niewielka. Było to nasze, moje miasteczko i to także było ich "sztotl" (zdrobnienie od żydowskiego stot – miasto). Tutaj od wieków Żydzi, tak jak i my, rodzili się, żyli, umierali, z tym że my mieliśmy na cmentarz bliżej, bo ich, nie wiem dlaczego nazywany "okopisko" był trochę dalej za naszym cmentarzem. Tam wielu z nich odeszło w dniu Zagłady. Fakt, że byliśmy świadkami tych nieludzkich zdarzeń każe pamiętać i ocalić od zapomnienia.

Ludność żydowska mieszkała w centrum miasta. Parterowe i jednopiętrowe domy skupione były wokół synagogi a także w rynku oraz na części ulicy Stanisławowskiej do niego przylegającej. Tylko pojedyncze rodziny mieszkaly poza centrum lub na obrzeżach miasta.

Żydzi zajmowali się przede wszystkim kupiectwem, ale wielu z nich było rzemieślnikami – krawcami, szewcami, kuśnierzami, szklarzami, blacharzami, piekarzami, olejarzami. Niektórzy zajmowali się handlem i ubojem bydła. Było też kilku dorożkarzy.

W roku 1938 z ogólnej liczby 85 handlowców, ponad trzy czwarte to byli Żydzi.

Przedmiotem handlu były w zasadzie towary mieszane, kolonialne, żywność, konfekcja, galanteria, materiały bławatne, skóry szewskie i baranie, materiały żelazne, budowlane, opałowe itp.

Niektórzy z tych kupców to:

Jakub Stimm – towary kolonialne i farby

Abraham Zuckerkandel – sprzedaż wapna i gipsu (syn jego chodził ze mną do szkoły)

Sara Samler – sprzedaż towarów bławatnych

Izrael Dulberg – piekarnia parowa

Chaim Krejnis – sprzedaż skór surowych i wyprawionych

Leon Blond – wyrób konfekcji męskiej i sprzedaż towarów bławatnych

Moses Korn – hurtowniczy skład skór baranich, kozuchów zakopiańskich

Istniała też fabryka uszlachetniania skór futrzanych firmy Krejnis, która zatrudniała od 70 do 80 osób. Były też restauracje i pokoje do śniadań Dory Sommer, Schachna Stengla (nazywanego Schachmanem). Z restauracji Schachmana, gdzie byłem przypadkowo z moim ojcem zapamiętałem duży, zielony stół bilardowy i okrągłe podkładki pod "halby" piwa z napisem "Okocim".

Niejednokrotnie do sklepów Austera czy Mechla Greifa z materiałami żelaznymi przy ulicy Stanisławowskiej posyłał mnie dziadek (kował) po kupno hufnali do podkuwania koni, a mój wuj Władek zabierał mnie jako pomoc przy zakupie żelaznych płaskowników do robienia podków.

W małym sklepiku żydowskim, w rynku w szeregu domów między "Domem Pańskim" a cerkwią kupowałem komiksowe tygodniki "Wędrowiec", "Karuzela" oraz "Świat Przygód" i zaczytywałem się w kolorowych opowiadaniach o przygodach Pata i Pataschona, Tarzana, sierżanta Kinga z Królewskiej Konnej czy Rycerzy Okrągłego Stołu.

Popularny dziennik "Wiek Nowy", który był tu również sprzedawany kupowaliśmy przeważnie u gazeciarza dostarczającego tę gazetę do sklepiku wprost z popołudniowego pociągu ze Stanisławowa. Idąc ulicą wołał głośno: "Wiek Nowy!", a w okresie kiedy toczyła się sprawa Gorgonowej (morderstwo w Brzuchowicach), bądź też kiedy po latach powracała na łamy prasy, zachęcał do kupowania gazety wołając: "Wiek Nowy! Najnowsze wiadomości, Gorgonowa na wolności!".

Przy ulicy biegnącej wprost od kościoła parafialnego w kierunku rynku, na rogu po lewej stronie była trafik. Jej odrzwia pomalowane były w biało – czerwone pasy a dzwonek wiszący nad drzwiami przy ich otwarciu anonsował klienta. Sklepiarzem był Żyd. W trafice pachniało tytoniem i było trochę ciemno. Gatunków tytoniu było sporo a z nich pamiętam przedni, najprzedniejszy, turecki, machorka, a z gatunków papierosów: egipskie, mewa, płaskie, damskie, sport, machorkowe. Były też bibułki do skręcania papierosów jak: "Solali", "Aida", "Kałyna" lub też gilzy do nabijania tytoniem przy pomocy specjalnego przyrządu. Z gilz papierosowych pamiętam nazwę "Herbewo". Naturalnie sprzedawano tutaj zapalki. Nie pamiętam czy oprócz tego był tu sprzedawany jeszcze jakiś towar. Może fajki?

Sklepiarz zawsze gorąco zalecał swój towar jako najlepszy. Zupełnie jak Izaak Moszkowicz z Krzemieńca (Paźniewski Wł., "Krótkie dni", W-wa. 1983), który dostarczał tytoniu do fajek księdzu proboszczowi i mówił: "Nu, przywiózł ja tytuń buczacki, nu, co ja mówię, to nie jest żaden tytuń, to jest rublowe złoto (...) a czy wiesz ksiądz, że tytuń buczacki palili apostołowie, nie żaden warszawski czy lubelski tylko buczacki. I święty Piotr palił tytuń buczacki i święty Łukasz. Nu, jeśli chodzi o Judasz to ten palił tytuń kijowski".

Oryginalnym sposobem prowadzenia handlu był handel obwoźny, którego jedyną przedstawicielką w Tyśmienicy, nazywaną "Łajzerka" (z akcentem na pierwszej sylabie) albo "Złota Pani" była stara Żydówka ze świecącym, złotym zębem.

Ona miała wszystko i to był "sam cymes" – perkale, jedwabie, chusty, chusteczki itp. Jej wcale nie chodziło o pieniądze ale tylko ... "złota pani, żeby sprzedać". "To jest -mawiała – sam echt materiał, niech pani to bierze, pani będzie wyglądać jak królowa. To jest materiał jakiego w Tyśmienicy nie było. Złota pani to pierwsza ogląda..." Skąd u niej ten przydomek "Łajzerka"? Prawdopodobnie z racji tego domokrażnego handlu i konieczności nieustannego łażenia.

Do tego rodzaju handlu, wprawdzie o innym charakterze można by zaliczyć starego Żyda jeżdżącego rozklekotaną furką zaprzęzoną w wyjątkowo chudą szkapinę, wołającego głośno: "Szmaty, stare garnki, żelazo kupuję..."

Naturalnie był to handel wymienny, bo za dostarczone przedmioty otrzymywało się lusterka, grzebyki, gliniane koguciki, scyzoryki tzw. koziki o drewnianym uchwycie i charakterystycznym kształcie ostrza. Uchwyty, jak pamiętam, pomalowane były zwykle na kolor czerwony. Czy coś jeszcze miał do zaoferowania ten nazywany z ukraińska "miniajlyk", nie pamiętam. Być może dlatego, że nas malców nic więcej nie interesowało. Jego chudą szkapą nie zainteresował się nawet Żyd Boruch, który jak się to u nas mówiło "łupił" konie, szczególnie tego rodzaju. Widocznie nie warta była żadnej transakcji.

Z rzemieślników żydowskich znany był mi krawiec męski Hager, mający swój warsztat w rynku. Był to szczupły, niewysoki mężczyzna o zawsze pogodnym obliczu. Miał swoich czeladników, ale nie pamiętam ilu. Hager był prawie kreatorem mody męskiej w naszym miasteczku. Szył wszystko, marynarki, spodnie, garnitury (naturalnie z bielskich materiałów!), bryczesy, kurtki zimowe z karakulowym kołnierzem, palta, futra. Z jego usług korzystało wielu ludzi, między innymi mój ojciec, a szczególnie wuj Władek, który był jeszcze wówczas kawalerem i nądzanie za modą było obowiązkiem. Jego opinia była jedna (i pozostała do dziś): "Nikt nie szył tak jak Hager".

Ja również miałem zaszczyt nosić rękodzieła tego mistrza w czasie okupacji, a także jeszcze po wojnie. Garnitur, kurtkę i spodnie bryczesy podarował mi wuj Władek, którego w marcu 1943r. zabrano do Niemiec. Ponieważ byliśmy jednakowej postury nie było więc żadnego problemu.

W tym mieście kuśnierzy znany był również majster kuśnierski Izrael Flücker, który wyprawiał skóry baranie a jego specjalnością było farbowanie na czarno i popielato.

Jednym z oryginalnych zawodów był zawód olejarza. Była u nas właśnie olejarnia, której właścicielem i fachowcem w wytłaczaniu oleju był Żyd.

Przy zbiegu ulic Wierzbowej i Pszenicznikowskiej, na małym wzgórk, tuż nad brzegiem młynówki Strymbu u ujścia do rzeki Worony stał niepozorny budynek, w którym była olejarnia, a na drugim brzegu stał rozklekotany, stary młyn. W olejarni, jak się to u nas mówiło był "bity olej". Jadalny olej tłoczono przeważnie z ziaren konopi, które w tych odległych czasach, nie tak jak dziś, służyły jeszcze zbożnym celom, bo oprócz tego oleju robiono z włókna tykowego konopi powrozy o dużej wytrzymałości a także ciężkie płótna. Z olejarni korzystali, oprócz mieszkańców Tyśmienicy, także chłopci z pobliskich wsi. Szczególny ruch w olejarni był zimą, szczególnie przed Świętami Bożego Narodzenia.

W olejarni byłem chyba raz jako mały chłopiec, nie pamiętam z kim i po co. Pamiętam jednak doskonale atmosferę i scenerię olejarni: ciepło, głośnie rozmowy, śmiech, gwar, chichot kobiet, kłęby tytoniowego dymu w półświecie naftowych lamp, kobiety z zakasnymi rękawami stojące przy niewielkich dzieżach, w których każda przygotowywała do tłoczenia swoje ziarno. Po nawilżeniu, podgrzaniu i wyrobieniu stanowiło ono konsystencję gęstej papki. Pośrodku pomieszczenia stała żelazna machina, prasa, do której wsypywano zawartość dzież, a mężczyźni przy żelaznych drągach ręcznie, z dużym wysiłkiem obsługiwali prasę.

Właściciela olejarni, Żyda w zatłuszczonym fartuchu pamiętam jak przez mgłę. Nie wiem czy miał jakichś po-

mocników, ale chyba nie, bo wszystkie prace wykonywali sami zainteresowani, a on dopilnowywał, doglądał przebiegu prac. Olej zlewano potem do blaszanych baniek, a z wyciśniętych ziaren powstawały okrągłe, sprasowane, kilkucentymetrowej grubości plastry, tzw. makuchy. Używano je po skruszeniu jako dodatek do pasz przy karmieniu bydła. Uzyskany olej był również formą zapłaty za umożliwienie wytłoczenia go.

Pamiętam dobrze mój pobyt w olejarni także z uwagi na niemiły tak dla mnie jak i dla obecnych incydent, którego byłem sprawcą. Błąkając się po pomieszczeniu i po wszystkich kątach potrafiłem, nie wiem w jaki sposób dzieżę, która spadła z ławy a zawartość jej wypadła na podłogę. Powstał rwetes, krzyk, ktoś mnie lajał, ktoś bronił, a ja płakałem. Nie zapomnę jednak nigdy tego charakterystycznego zapachu, koloru i smaku konopnego oleju. Olej ten można było kupić w olejarni, a także na jarmarkach, targu w litrowych butelkach zabezpieczonych jak korkiem odłamany, odpowiednio przystosowanych kaczanem kukurydzy. Olej ten używany był również w naszym domu a szczególnie ceniony w okresach przedświątecznych postów.

Na rogu ulicy Stanisławowskiej i kolejowej stał okazały, parterowy dom z wysokimi, o łukowatych obramowaniach oknami i ozdobną elewacją. Wejście do domu było od ulicy Stanisławowskiej. Mieszkał tu i przyjmował dr Reislner, jeden z kilku lekarzy Żydów w Tyśmienicy. Pozostali lekarze to Lechner i Kufner oraz dentysta, którego nazwiska nie pamiętam. Nie potrafię też określić gdzie mieszkali ci ostatni, bądź przyjmowali pacjentów.

Trudno nie wspomnieć przy tym o innym lekarzu, którym był Węgier dr Ludwik Morway. Mieszkał w swoim domu przy ulicy Kolejowej. Był też naszym domowym lekarzem z uwagi na to, że sprawował funkcję lekarza kolejowej służby sanitarnej dyrekcji stanisławowskiej, a mój ojciec był pracownikiem kolei.

Wśród parterowych domków na początku ulicy Kolejowej, zamieszkałych przez Żydów był dom rodziny Udelsmanów. Była to charakterystyczna rodzina – dwóch braci i siostra, którzy byli karłami. Bywałem u nich w domu, gdyż jeden z Udelsmanów, chyba najstarszy przygotowywał mnie i kilku moich kolegów do gimnazjum, udzielając korepetycji z matematyki

Pamiętam doskonale jego niewielką postać z dość dużą wpółwytysiałą głową, wokół której wily się smużki dymu z wypalanych często papierosów, charakterystyczne były też dość wypukłe oczy. Posiadał dużą umiejętność nauczania.

Kilka razy wyręczałem go, na jego prośbę, idąc na pocztę z wypełnionym przekazem pieniężnym, adresowanym na nazwisko kobiety we Lwowie. Nazwisko nie było żydowskie. Pewnego razu ta, tajemnicza dla nas, dama gościła w jego domu.

Kiedyś, tuż przed wojną wydarzył się incydent, którego mimowolnym bohaterem stał się "nasz" Udelsman. W latach 1936 – 1939 w naszym kraju urzędował "premier zajmujący się dozowaniem czy płoty są malowane zgodnie z jego rozporządzeniem". Niedługo przed wojną (1938?) to znane rozporządzenie ogłoszono mieszkańcom miasta. Było ono, jak zwykle, przekazane przez pracownika urzędu miejskiego, który w bluzie mundurowej szedł ulicą, bijąc w niesiony werbel, a potem kiedy zgromadziła się już grupa ludzi ogłaszał do-

nośnie tekst zarządzenia władz miejscowych czy administracji państwowej.

Właśnie to omawiane zarządzenie dotyczyło obowiązku malowania ogrodzeń koło domów (plotów, parkanów itp.), a także doprowadzenie ich do należytego stanu. Prawdopodobnie dotyczyło tylko głównych ulic.

Był wyznaczony termin, po którym konsekwencją nie wykonania zarządzenia miało być usunięcie, zniszczenie ogrodzenia. Tak też się stało! Pewnego pogodnego dnia grupa członków ochotniczej straży pożarnej z toporkami w rękę szła moją ulicą Kolejową, poczynawszy od stacji kolejowej, sprawdzając wykonanie zarządzenia. Wszelkie odstęstwa pociągały za sobą natychmiastową egzekucję tj. rozwalenie ogrodzenia. Obronną ręką z tej opresji wyszli nasi dwaj sąsiedzi Żydzi – Mechel i Nuchim, których domy w ogóle nie były ogrodzone. U naszego sąsiada Ukraińca rozwalony został wiklinowy, pleciony płot. Nie był pomalowany! Właściwie mógł być chyba tylko pobielony wapnem. Był to niestety żałosny widok. Dochodząc do końca ulicy, już w centrum miasta "egzekucyjna" grupa trafiła na dom Udelsmanów, który posiadał ogrodzenie z siatki metalowej, ale częściowo zniszczonej i naturalnie nie pomalowanej. Toporki poszły w ruch! Na ganek domu wybiegł rozwścieczony nasz znajomy Udelsman, krzycząc z całych sił: "Panowie! Co to jest?! Co się dzieje?! Co to bolszewia?!"

I stało się, że wyrzekł te słowa w złą godzinę! Bolszewia przyszła, ale nie interesowała się malowanymi płotami a raczej jaskrawo czerwonymi transparentami i ludźmi, bez względu na ich narodowość i pochodzenie, którzy według ich mniemania byli niewygodni, niepotrzebni, niebezpieczni, i których w głąb sowieckiego imperium wywozili.

Udelsman pozostał. Był nauczycielem w tzw. niepełnej średniej szkole, do której uczęszczałem w latach 1940 – 1941. Wykładał matematykę. Był jednym z trzech nauczycieli "tubylców" oprócz dyrektorki szkoły Ukrainki i nauczyciela Polaka M. Dziedziniewiczza, który był wychowawcą w mojej klasie. Pozostali nauczyciele to byli przybysze ze wschodu.

Nadmienić należy, jeśli chodzi o rodzinę Udelsmanów, że brat wspomnianego pracował przed wojną jako buchalter. Nie wiem tylko gdzie był zatrudniony. Może w fabryce futrzarskiej Krejnisa, albo w żydowskim związku kredytowym, bo taki istniał, czy też w jakimś żydowskim stowarzyszeniu.

Przy ulicy Kolejowej pod numerem 74, około pół kilometra od stacji w stronę miasta stał nasz dom, z obu stron domy wujostwa i na przeciw po drugiej stronie ulicy dom dziadka i kuźnia. W sąsiedztwie mieliśmy tylko dwa domy żydowskie. Jeden to dom Mechla, niedaleko stacji, drugi tuż obok po przeciwnej stronie, dom Nuchima. Nazwisk obydwu nie pamiętam, gdyż nikt inaczej ich nie nazywał. Może to jeszcze pochodzić z okresu kiedy Żydzi posługiwali się tylko swoimi imionami rodowymi? Gdzieś jak przez mgłę kojarzą mi się nazwiska Milchner, Mincer, ale który z nich miał być którym, nie wiem.

Obok domu Mechla nie było żadnych pobliskich zabudowań. Stał samotnie po lewej stronie ulicy, patrząc od stacji kolejowej. Była to uboga rodzina składająca się z czterech osób – małżeństwa i dwojga dzieci: Mechla (młodego) i małej córki Elki. Czym dorośli zajmowali się – nie wiem. Pamiętam, że uprawiali ogródek obok domu, hodowali kury, a starego Mechla widzałem często idącego do

miasta z książką pod pachą. Prawdopodobnie uczył dzieci żydowskie w chederze położonym tuż przy powszechnej szkole męskiej przy końcu ulicy Kolejowej. Budynek, w który znajdował się cheder był również miejscem modlitwy.

Staremu Mechlowi przypisywano powiedzenie: „W Tyśmienicy nie ma mądrzejszych ludzi jak ja i mój brat Chaim”. Bywałem nieraz u nich w domu, bo młody Mechel chodził ze mną do szkoły. Pamiętam jak latem siadywaliśmy obydwa nad pobliską kałabanią, która znajdowała się u końca ich ogrodu i zajadaliśmy pyszny, złocisty, świeżo upieczony kartoflanik, który Mechel wyjął matce z piekarnika. Zimą na tej kałabani urządzaliśmy ślizgawkę. Goniliśmy również z innymi kolegami Polakami, Ukraińcami za piłką ( balonem, szmacianką) na tak zwanej tłoce, rozległym pastwisku, ciągnącym się od stacji Kolejowej wzdłuż drogi na Kołomyję ( 2 kilometry) aż do miejsca zwanego Horodyszczce.

W latach 1940– 1941 niejednokrotnie wyładowywaliśmy z Mechlem wagony na stacji kolejowej. Były to często platformy z dużymi kęsami kamienia, który był niedaleko torów mechanicznie rozdrabniany na tak zwany tłuczeń. Były też wagony z węglem, drewnem, a także skórami suchymi do fabryki białoskórnicy w Tyśmienicy.

Pamiętam, że w przeddzień wybuchu wojny niemiecko– sowieckiej wyładowywaliśmy do późnej nocy sól z wagonu krytego wożąc ją taczkami do magazynu. Była przeznaczona też do fabryki jako środek stosowany przy farbowaniu skór.

Mimo, że chodziliśmy do szkoły, podejmowaliśmy się tych prac aby zarobić parę rubli, gdyż w domu było kruczo. Zarobione pieniądze otrzymywaliśmy dość szybko. Mieliśmy wówczas niespełna 15 – 16 lat.

W ostatnim roku okupacji sowieckiej Mechel wdał się chyba w jakieś podejrzane kontakty. Będąc kiedyś w Stanisławowie i obserwując kolejki ludzi przed sklepami pokazywał mi jak to korzystając z tłoku szczególnie w „głowach” kolejek, kieszonkowcy okradają w rozmaity sposób ludzi. Była to taka lekcja pogładowa, aż do chwili, gdy nas obserwatorów zauważono. Musieliśmy natychmiast odejść. Na moje pytanie czy on też wdał się w to towarzysstwo, uśmiechnął się tajemniczo.

Niejednokrotnie kiedy rozstawaliśmy się Mechel z uśmiechem rzucał mi dwa słówka "zaj gesind". Nie znałem początkowo znaczenia tych słów. Rozmawialiśmy ze sobą po polsku. Później dowiedziałem się, że znaczy to „bądź zdrow”. Nie wiem co się z nim stało, kiedy po raz ostatni pożegnał mnie swoim "zaj gesind". Prawdopodobnie uciekł przed Niemcami razem z wycofującymi się Rosjanami w czerwcu 1941 r.

Obok naszych domostw, w sąsiedztwie z domem dziadka stał dom Nuchima, nie ogrodzony i trochę wyżej od poziomu ulicy. Z tyłu za domem był ni to ogród ni to sad z kilkoma drzewami owocowymi, trochę zaniedbany. Dom był dość obszerny, kryty blachą, przedzielony w połowie sienią. Po jej prawej stronie było duże pomieszczenie mieszkalne, wykorzystane także do prowadzenia sprzedaży ( wydzielony kątem ogrodzony kontuarem). Z pomieszczenia tego było wejście do kuchni. Na ścianie, tuż przy wejściu do kuchni z prawej strony, wisiał szafkowy, stary zegar wybijający godziny. Po lewej stronie sieni był pokój a dalej chyba spiżarnia.

Rodzina Nuchima była dość liczna. On sam był dość ciekawą postacią. Zawsze schludny, pogodny i bogoboj-

ny, z siwą brodą. Prowadził mały handel towarami spożywczymi i takież wyszynk. Zastawałem go nieraz przy modlitwie, z narzuconą na ramiona białą w czarne pasy chustą z frędzlami, z sześciennym, skórzanym pudełkiem na czole, a jego gołe ramię, chyba jak pamiętam lewe, opasywał rzemień wijący się ku górze.

Z żoną Nesią mieli córkę Brancję, która jeszcze przed wojną wyszła za mąż i zamieszkała w Stanisławowie. Nuchim utrzymywał jeszcze mieszkających z nimi: siostrę żony Surę oraz dzieci swojej siostry Anczela i Jedkę, których rodzice zmarli. Anczel i Jedka byli to ludzie młodzi. Anczel był po maturze i w pewnym okresie mojej nauki w gimnazjum udzielał mi korepetycji. Był bardzo energiczny i nerwowo. Nieraz w czasie korepetycji wyrażał dość głośno swoją opinię o mojej niechęci do nauki, ale też o moich zdolnościach.

Anczel w roku 1940 (1941?) został wcielony do Armii Czerwonej, zresztą jak niektórzy z Polaków i Ukraińców. Było to konsekwencją przyznania mieszkańcom zajętych ziem radzieckiego obywatelstwa, co pociągało za sobą obowiązek służby wojskowej w Armii Czerwonej. W 1944 r. Anczel powrócił do Tyśmienicy i zajmował jakieś stanowisko w miejscowej milicji. Interesował się szczególnie z racji pełnionej funkcji, jak i tego, że był bliskim sąsiadem i znajomym, sprawą napadu banderowców w dn. 6. grudnia 1944r. na dom mego dziadka, spalenia zabudowań i zamordowania mojej kuzynki Czesławy Pochroń.

Jedka była ładną, ciemnowłosą panną, zawsze ruchliwą i uśmiechniętą. Pozostała na jednym z naszych zdjęć jak jakiś cień.

Był maj 1935r. Zawitał do nas wędrowny fotograf z koniem kucykiem, więc jakżeż nie uwiecznić na zdjęciach swoich dzieci. Moi bracia Roman i Tadeusz młodszy ode mnie o lat kilka, uwiecznieni zostali na kucyku na tle naszego domu. Właśnie w czasie robienia zdjęcia wbiegła na podwórze Jedka z jakąś sprawą do naszej matki. Była wówczas w lekkiej sukience w kwiatki z bardzo krótkimi rękawkami. Nie chcąc być uwidoczni na zdjęciu weszła za próg przedsionka. Los jednak chciał inaczej. Na zdjęciu widnieje w progu przedsionka białe ramię Jedki. Kiedykolwiek spojrzę na to zdjęcie widzę ją dokładnie, żywą, uśmiechniętą, jakby to było wczoraj.

U Nuchima robiło się dorywcze zakupy, jak i „na książeczkę”;

– do Nuchima biegaliśmy po „bombę” czekoladową lub „sztolwerki”, z pięciogroszówką podarowaną przez dziadka, która była rekompensatą za przytulenie nas do siebie i potarcie szczeniastą brodą policzka

– do Nuchima szło się do studni, przy której stał majestatycznie wysoki żuraw i jego żerdzią czerpało się wodę. Żuraw i studnia dotwały do początku lat dziewięćdziesiątych.

– do Nuchima w zimowe popołudnia w dniu targowe wstępowali na rozgrzewkę chłopcy i baby okutani w kożuchy, jadący saniami z jarmarku w Tyśmienicy do pobliskich Markowicz, Chomiakówki czy Pszenicznik i Pohonii.

Kiedyś wydarzył się tam z nimi mały dramat, którego byłem świadkiem, a raczej nieświadomym widzem. Pośrodku pomieszczenia (jak na scenicznych deskach) leżał młody, rosły mężczyzna. Z krzyku bab, rejwachu Żydówek zrozumiałem, a raczej dowiedziałem się, bo nie rozumiałem tego do dziś, że w człowieku tym zapaliła się wódka. Dziwiłem się bardzo, nieświadomy, bo nie zauważyłem żadnych płomieni wydobywających się z ust., tylko ciem-

ną strużkę z ich kącika i bardzo bladą twarz ciemnowłosego mężczyzny. Ratunkiem dla niego, jak ustalono, mógł być tylko mocz, którego ofiarodawcą miała być kobieta... żona czy też dziewczyna leżącego. Finału dramatu nie znam. Kazano mi iść do domu. Prawdopodobnie jednak ocalonego włożono na sanie i odjechano, bo żadnym echem nie odbiło się to wydarzenie na naszej ulicy, a byłoby inaczej, gdyby finał był tragiczny;

– u Nuchima również mnie zdarzył się przykry przypadek. Wysłany przez matkę po zakupy i stanąwszy przed kontuarem, wówczas dla mnie jak pamiętam wysokim... osunąłem się zemdłony na podłogę. Ocknąłem się leżąc na szerokiej ławie a nade mną głośno wyrażając swoje zaniepokojenie domownicy Nuchima – Sura, Nesia, Jedka... i przywołana moja matka;

– do Nuchima wpadali również ukradkiem na rozgrzewkę w okresie poświętecznym Bożego Narodzenia członkowie bractwa kościelnego, którzy chodzili po kołędzie z tzw. berłem. Tajemnicą pozostanie tylko, gdzie pozostawiali berło, bo przecież nie mogli z nim wejść do żydowskiego domu;

– do Nuchima zachodzili również nasi wujkowie, dziadek i mój ojciec na piwo i pogawędkę, gdzie rej wodził jak zwykle mój pełen elokwencji ojciec. Czasami pogawędki te, a przynajmniej jedną taką pamiętam, kończyły się niezbyt korzystnie dla Nuchima.

Otóż pewnego razu, na drugi dzień po takim spotkaniu, a było to pod koniec 1938 roku przyszedł do nas stary Nuchim pytając matkę:

– „Józiu, czy twój król jest w domu?”

– „Nie, jest dziś na służbie.”

– „Słuchaj, on mnie nie zapłacił za książeczkę.”

– „Ale on przecież poszedł wczoraj do Nuchima z pieniędzmi, aby zapłacić.”

– „Tak, ale on przyszedł, zasunął mi jura o tym przeklętym Hitlerze, o tych nieszczęściach, o wojnie..., że ja byłem bez głowy a on sobie poszedł.”;

– do Nuchima przyjeżdżał fiakrem prowadzonym przez Żyda Herszka zamożny, emerytowany maszynista kolejowy, który mieszkał wprawdzie niedaleko, bo zaledwie o kilkaset metrów. Z przejazdu fiakrem korzystał jednak z uwagi na swoją wyjątkowo okazałą tuszę, jak i to, że przyjeżdżał nieraz z przedstawicielką płci nadobnej. Nuchim zapraszał ich wtedy do swojego pokoju naprzeciw pomieszczenia sklepowego i tam też oboje wymienieni biesiadowali.

Jesli już jesteśmy przy Herszku to trzeba wspomnieć, że my też, mali chłopcy, korzystaliśmy z przejazdów fiakrem, może w trochę mniej wygodny sposób, bo siedząc na osi pod opuszczoną budą i trzymając się jedną i drugą ręką resoru, były to jednak przejazdy bezpłatne.

Nuchim zmarł wczesną wiosną 1939r. na atak serca, co stwierdził leczący go doktor Lechner. Pamiętam dzień jego pogrzebu i głośny zawodzący płacz niewiast. Biedne kobiety nie przeczuwały, że Nuchim miał szczęście odchodzić w spokoju i bogobojnie na łono Abrahama.

Pogrzeb Nuchima odbył się w niezbyt długim czasie po żydowskim święcie, które nazywaliśmy świętem Hamana. Było to, jak wiadomo, hucznie obchodzone radosne święto Purim, które przypadało na przełom lutego i marca.

Święto to upamiętniało rocznicę pierwszego w dziejach żydowskiego pogromu, który przygotowywał najwyższy dostojnik perski Haman, w wyznaczonym przez los

(hebr. purim) dniu. Wyjawienie motywów zamysłu Hamana przez królową Esterę uratowało Żydów od nieuchronnej eksterminacji a jego samego stracono.

W dniu święta wielu przebierańców biegło po ulicach z kołatkami, które miały przepędzić złego ducha Hamana. Działwa zjadła miodowe makagigi i nadziewane powidłami "uszka Hamana" (hamantaszen). Nas malców częstowano nimi u Nuchima w czasie tego święta. Określenie "Haman" było u nas często używane w potocznych zwrotach i miało raczej pejoratywne znaczenie. Określano nim człowieka złego, a także kogoś dziwacznie ubranego, jak np. "wyglądasz jak Haman", "zrobić z siebie Hamana".

Z żydowskich świąt pozostało również w pamięci święto szafasów, obchodzone w końcu września na pamiątkę pobytu Żydów na pustyni po wyjściu z Egiptu. Budowane były przy domach szafasy (kuczki), gdzie Żydzi w czasie świąt modlili się i spożywali posiłki. U sąsiadów Nuchima i Mechla kuczki budowane były z wysokich łodyg kukurydzy, która u nas była zawsze dorodna i często uprawiana. Nuchim stawiał szafas zawsze przy wschodniej ścianie, od strony zabudowań naszego dziedka.

Przyszedł rok 1938, a z nim coraz to bardziej niepokojące wieści spoza naszej zachodniej granicy – z Niemiec: Anschluss z Austrią, zagarnięcie Sudetów, zaostrzenie prześladowań Żydów, pogrom Żydów (Kristalnacht 9 – 10 listopada), ucieczka wielu tysięcy Żydów za granice III Rzeszy, deportacja Żydów do Polski – to były wiadomości, które wypełniały łamy gazet i stanowiły przedmiot częstych rozmów wśród dorosłych w naszych domach. To wszystko budziło obawy i niepokój wśród nas, a wśród Żydów szczególnie.

Na przestrzeni lat, jak pamiętam, bardzo słabym echem odbijały się wystąpienia antyżydowskie, chociaż raz trafiła do moich rąk gazeta "Samoobrona Narodu" (wydawana w Poznaniu) wybitnie antyżydowska. Na tytułowej stronie był rysunek węża, czy też smoka o głowie Żyda z pejsami, jarmułką i semickim nosem. Jak to się wszystko miało do naszego Nuchima? Nie było jednak, o ile pamiętam, tych malowanych hasel "nie kupuj u Żyda" czy też tego rodzaju pikiet przy sklepach. Jedynym hasłem, które mnie zawsze intrygowało był napis na dzwonnicy cerkwi miejskiej "Głosuj na 2!" – pozostałość po jakichś wyborach.

Nadszedł jednak tragiczny wrzesień 1939 r., a w połowie tegoż miesiąca nagle, nieoczekiwanie zostaliśmy "wyzwoleni spod ucisku pańskiej Polski" przez Armię Czerwoną, której czołgi grupy ludności ukraińskiej witały z radością na naszej ulicy. A dzień, dwa wstecz w centrum miasta grupa "bojowców" złożona z Ukraińców i Żydów napadła na jadący tabor żołnierzy polskich celem ich rozbrojenia. Wywiązała się strzelanina, ktoś został zabity, ktoś ranny, resztką napastników rozpierzchnięta. Tylko rozwścieczeni żołnierze jechali już z bronią gotową do strzału naszą ulicą i dalej tym szlakiem ku granicy z Rumunią.

Za Armią Czerwoną przyszła administracja, organa państwowe, sądownictwo, prokuratura i organizowano różne ispolkomy, rejkomy, komsomoł, kooperatywy, artele itd. Nad wszystkim czuwał nieodzowny aparat NKWD, który ulokował się w Domu Brackim koło cerkwi miejskiej oraz w części byłego klasztoru dominikanów. W tym ostatnim był chyba jakiś tymczasowy areszt z zakratowanym oknem.

Pewnego razu miałem wyjątkową satysfakcję przyglądania się jak spoza krat wygląda przewodniczący komsomołu, aresztowany wraz z dyrektorem szkoły za jakieś malwersacje. Jeszcze niedawno przewodniczący grzmiał i walił pięścią w stół w naszej szkolnej klasie, agitując za wstąpieniem do komsomołu. W sprawie nadużyć był sąd i dosyć wysokie wyroki.

Przyszedł jednak dość szybko czas aresztowań i deportacji ludności miejscowej. W początkach roku 1940 aresztowano szereg osób wśród Polaków, a ich rodziny wywieziono. Nie ominęło to także Ukraińców i Żydów. Spośród Żydów wywiezieni zostali Izaak Krejnis (właściciel fabryki wyprawiania skór) wraz z rodziną; podobny los spotkał Żyda Rundera z rodziną oraz nie cieszącego się zbytnią sympatią wśród ludności handlarza bydłem Koka.

Wśród ludności miejscowej istniała jednak opinia, że większość Żydów akceptowała działalność administracji sowieckiej i współpracowała z nią. Dotyczyło to przede wszystkim młodych Żydów, bo starzy trzymali się na ubożu, tak jak i żydowska inteligencja.

W związku z upaństwowieniem całej gospodarki Żydzi, którzy w Tyśmienicy mieli w swoich rękach prawie cały handel, jak i ci, którzy trudnili się drobnym rzemiosłem, nagle zubożeli i zostali bez pracy. Jakąś szansę zatrudnienia i zdobycia środków na utrzymanie dawały im kooperatywy i artele. Wielu Żydów poszło pracować na kolei i do innych prac fizycznych. Np. szereg miejsc pracy powstawało w związku z budową kombinatu skórzanego przy garbarni Margoschesa w Stanisławowie. Wielu Żydów starało się ulokować na posadach w tworzonej gospodarce komunistycznej.

Nieoczekiwana agresja Niemiec hitlerowskich na ZSRR w dniu 22 czerwca 1941r. i forsowne działania wojsk niemieckich oraz, na tej linii frontu, węgierskich sprawiły, że już 4 lipca wkroczyli do nas Węgrzy. Ten fakt był korzystny dla ludności polskiej, a także dla Żydów, gdyż ratował ich przed pogromami ze strony Ukraińców.

Niestety już po miesiącu administrowania Węgrzy przekazali zarząd Niemcom. Z dniem 1 sierpnia 1941r. zostaliśmy włączeni do Generalnego Gubernatorstwa jako dystrykt Galicja.

Już od pierwszych dni okupacji niemieckiej rozpoczęła się eksterminacja Żydów. Któregoś dnia rozeszła się wiadomość, że Żydzi będą zabierani do getta, które Niemcy zorganizowali dla nich w mieście. Było to kilkadziesiąt domów skupionych wokół synagogi, ograniczonych ulicami: Kolejową od Stanisławowskiej do uliczki prowadzącej w kierunku kościoła parafialnego; uliczką wprost od kościoła ku rynkowi do ulicy Stanisławowskiej i ulica Stanisławowską.

Był to dzień pełen jakiegoś niepokoju i napięcia. Wieczorem przyszła do mojej matki szwagierka Nuchima Sura z jakimś przedmiotem pod pachą, owiniętym chustą. Rozmawiały w kuchni szeptem. Okazało się, że Sura przyniosła do przechowania zegar, tak jak i do bliskich sąsiadów inne przedmioty, z przekonaniem, że do ich powrotu z getta zostaną one przechowane. Dnia następnego rodziny naszych sąsiadów Nuchima i Mechla zabrano do getta. Córka Mechla mała Elka uciekła jednak i jak dowiedzieliśmy się, widzieli ją ludzie błąkającą się po ogrodach, sadach. Zachodziła do niektórych domów, gdzie dostała coś do jedzenia. Jak długo to trwało i gdzie się podziała – nie wiadomo.



To wydarzenie i postać małej Elki przypominają mi zawsze pierwsze strofy wiersza Wł. Broniewskiego "Ballady i romanse":

"Słuchaj dziewczeczko! Ona nie słucha...

To dzień biały, to miasteczko..."

Nie ma miasteczka, nie ma żywego ducha  
po gruzach biega naga, ruda Ryfka  
trzynastoletnie dziecko."

Byłem też kiedyś świadkiem dramatycznych scen w getcie. Był pogodny, słoneczny dzień, najprawdopodobniej było to niedzielne popołudnie. Byłem w kościele z kolegami i tam dowiedziałem się, że do getta przyjechali Niemcy z ukraińskimi policjantami. Ponieważ kościół był tuż na skraju getta weszliśmy drewnianymi schodami do wieży kościelnej, gdzie zawieszony był dzwon i z okna obserwowaliśmy, co dzieje się w getcie.

Na placu przed synagogą kręcili się Niemcy i policjanci. Było sporo Żydów mężczyzn i kobiet, którzy coś wnosili czy wynosili z synagogi. Poznałem moją koleżkę ze szkoły, biegnącą nerwowo po placu. Jedną z Żydówek,

brzemienią prosiła o coś Niemca, schylając mu się do nóg, ale odepchnął ją brutalnie nogą. Znałem tę Żydówkę, sprzedawała w małym kramiku przy ulicy Stanisławowskiej, niedaleko synagogi.

Nie obserwowaliśmy jednak długo tej akcji w getcie. Były potem wieści, że niektórych zastrzelono i wywieziono na żydowski cmentarz.

Likwidację getta Niemcy przeprowadzili wywożąc większość Żydów prawdopodobnie do Stanisławowa. Zdrowych i młodych wyznaczono do pracy w fabryce białokórniczej. Jednak latem 1942 r. wyprowadzono ich na cmentarz i tam rozstrzelano. Niektórym udało się uciec i przetrwać do czasu wejścia wojsk radzieckich.

A zegar, który przyniosła Sura, nigdy nie zawieszony przetrwał z nami do końca wojny. Był z nami w naszej wojennej i powojennej tułaczce, to tu, to tam. Przez wiele lat leżał gdzieś zakurzony, zapomniany, aż pewnego dnia zawiesiłem go na ścianie i przywróciłem do życia.

Nie ma Sura, Nesi, Jedki i wielu innych... Tylko zegar odmierza czas i wybija godziny.

## Wiadomości z życia tłumaczan

### Przeżyjemy to jeszcze raz

#### Spotkania i Zjazdy Tłumaczan (c.d.) (1945-1995)

#### Janina Petrus-Duszyńska

1-15 czerwca 1994 roku

##### Kołobrzeg

Dzięki Zarządowi i Julkowi Piotrowiczowi, już po raz piąty spotkaliśmy się w Kołobrzegu. Jak z tego wynika, spotkania nad morzem weszły na trwałe do naszych tłumackich powojennych tradycji.

W zjeździe uczestniczyły 53 osoby dorosłe oraz 8 wnucząt. Byli to: Zbigniew Bojczuk z żoną, Michał i Lidia Dasiewicz, Jerzy Czyżycki, Władysław Geruła, Czesława Koczwar-Kałuża z córką i wnukami. Stanisława Piotrowicz-Hołyńska, Józef Czohara, Zdzisław Kłonowski z żoną, Józefa i Stanisław Cichoniowie z wnuczką, Irena Tomyń, Anna Tomyń-Jasińska, Zygmunt Burczyński z żoną, Maria Azarkiewicz-Sapa, Małgorzata Zajac, Maria Dębiec-Kasperowicz z wnukiem, Antonina Czohara-Sawicka, Tadeusz Szmydt, Karolina Geruła-Rizler, Krystyna Bojczuk-Marciniak, Henryka Czapliska-Jankowska, Romualda Lityńska-Króliczek, Julian Piotrowicz z żoną i wnukami, Wiktoria Wiszniewska, Emilia Śniechowska-Bilut, Jadwiga Matejko-Kołodziej, Józefa Panachida-Skowron, Janina i Józef Duszyńscy, Anna Mierzwińska-Korcowska, Tadeusz Kłonowski, Irena Pelech-Ruszel, Grzegorz Piotrowicz, Zygmunt Boniowski, Janina Sokółowska-Kubica, Krystyna Lityńska-Szymułowicz, Krystyna Wiszniewska-Kurzawa, Józefa Bilińska-Agopowicz, Janina Białkowska-Pactwa, Stefania Piotrowicz-Pytlak, Anastazja Białkowska-Bogucka, Celina Rachwał-Chrzanowska, Mirosława Słotarska-Marcinowska.

Było nas znacznie mniej niż w roku poprzednim, nie przyjechało bowiem kilkoro stałych uczestników poprzednich spotkań.

Na trzeci dzień po przyjeździe odbyło się zebranie, które otworzył prezes Zbigniew Bojczuk sprawozdaniem z rocznej działalności, w której największy wysiłek włożono w doprowadzenie do końca sprawy renowacji obrazu św. Anny znajdującego się w Siedlakowicach. Po złożeniu sprawozdania, na jego wniosek oddaliśmy hold tym, którzy w minionych miesiącach odeszli od nas na zawsze, choć jeszcze niedawno wielu z nich uczestniczyło z nami w poprzednich zjazdach. Minutą ciszy i serdecznym westchnieniem uczciliśmy pamięć: Janiny Szmyd, Zbigniewa Zabojskiego, Marii Ossowskiej, Jana Tabińskiego, Marii Dacy, Wartana Moszoro, Adama Dacy, Eugeniusza Linscheid, Jerzego Skowrona (męża Ziuty Panachidy), Jerzego Tchorza (męża Lusi Bilińskiej), męża Stasi Korneluk, Koryckiego.

W dyskusji jako pierwszy zabrał głos nasz wiceprzewodniczący Jurek Czyżycki, który bardzo dokładnie zapoznał zebranych z planowaniem na 31 lipca bieżącego roku przebiegiem uroczystości poświęcenia tłumackiego obrazu w Siedlakowicach. Poinformował, że Kardynał Gulbinowicz wspomógł nas wcześniej kwotą 5 mln złotych na zakup złota niezbędnego do rekonstrukcji. Potem Jurek zwrócił się do zebranych, aby uaktualnili swoje adresy, gdyż często korespondencja (zaproszenia, zawiadomienia, przesyłki) wraca nieodebrana przez adresatów. Podkreślił przy tym, że wielkim problemem jest niepowiadomianie w odpowiednim czasie organizatorów o swoim uczestnictwie w zjazdach, co bardzo utrudnia pracę, a nierzadko wywołuje nieprzyjemne sytuacje w miejscach spotkań. Zabierając głos w dyskusji, Michał Dasiewicz podkreślił wielką ofiarność tłumaczan na rzecz wydatków związanych z renowacją obrazu, której koszt wyniesie ponad 30 mln złotych. Ponieważ niebagatelne są też koszty związane

z bieżącą pracą Zarządu, zwrócił się do zebranych, aby w dalszym ciągu nie skąpili „grosza” na ten wspólny cel.

Na zakończenie odczytano listy od tych, którzy z różnych powodów nie mogli uczestniczyć w zjeździe. Z Rzymu przyszły pozdrowienia od pp. Śniechowskich, którzy przebywali tam w związku z uroczystościami na Monte Cassino. Szczególnie piękny i długi list nadesłał dr M. Nikosiewicz, w którym opisał dawny i dzisiejszy Tłumacz, podkreślając, że już nigdy nie będzie Tłumacza takiego, jakim go pamiętamy, takiego, jaki był za naszych „polskich” czasów. Wspominał też zmarłych tłumaczan i prosił, abyśmy i my o nich pamiętali.

Tradycyjnie modliliśmy się w miejscowym kościele podczas Mszy św. dziękując Panu za łaskę kolejnego spotkania wiernej Bogu i sobie wzajem tłumackiej rodziny.

Nasz piąty pobyt w Kołobrzegu organizacyjnie nie różnił się od poprzednich: wygodne domki, jadła pod dostatkiem, szumiące morze i zieleń drzew, a nade wszystko – serdeczni, bliscy ludzie wokół.

I znów jak co roku, odbyło się ognisko i pożegnalna kolacja z tradycyjnym już repertuarem rozrywkowym w wykonaniu wszystkich uczestników zjazdu.

Rozstanie czerwcowe nie wyciskało nam wyjątkowo łez z oczu, bo przed nami było zapowiedziane na koniec lipca spotkanie przed tłumackim obrazem św. Anny Samotrzeciej w Siedlakowicach, niedaleko Wrocławia.

**31 lipca 1994 roku**

#### **Siedlakowice**

Musiała nam nasza tłumacka święta Anna szczerze patronować, że zdołaliśmy odrestaurować Jej obraz i spotkać się znów w nabożnym skupieniu przed Jej obliczem.

Mszę św. koncelebrowaną z miejscowymi kapłanami odprawił i piękne kazanie wygłosił Jego Eminencja ks. kardynał Henryk Gulbinowicz. Jak wspomina Czesia Koczwara, mówił przede wszystkim o obrazie, o tym, jak daleko musiał jechać ten obraz, aby w tej małej wiosce, po starannej renowacji mógł zostać po 72 latach ponownie poświęcony. O tym, jak daleko wieźli obraz ludzie, którzy dziś, po blisko 50 latach, oddają mu hołd. Mówił wreszcie i o tym, jak daleką drogę w ogromnym skwarze pokonali Tłumaczanie, żeby pokłonić się Patronce swojego kościoła, którego już nie ma w ich rodzinnym miasteczku.

Na koniec zwrócił się do zgromadzonych, aby rozstawiali św. Annę, bo nie jest to przecież zwykła kobieta, lecz matka Marii Panny i babcia Jezusa.

Mszę św. zakończyła procesja wokół kościoła oraz poświęcenie obrazu.

Po nabożeństwie odbyła się – nadal w kościele – część świecka uroczystości. „Do ołtarza – pisała w swych wspomnieniach Czesia Koczwara – podeszli w pierwszej trójce mieszkańcy Siedlakowic, dziękując Jego Eminencji za przybycie, za poświęcenie obrazu. Następnie dziękowała młodzież i dzieci. Przyszła kolej na nas. Danuta Tabińska-Juhasz, Zbigniew Bojczuk i Jerzy Czyżycki z wiązką kwiatów podziękowali Kardynałowi. Uroczystość zostawiła w naszych sercach niezapomniane wrażenie. Podniosła na duchu niejednego z nas. Byliśmy dumni, że tu, do małej dolnośląskiej wioski, do skromnej małej świątyni, przybył kardynał, by poświęcić „nasz” obraz i nakazał głosić moc tego obrazu i modlić się do św. Anny. Dumni byliśmy,

że to dla „naszej” pięknie odnowionej „złotej” św. Anny stanęło tylu duchownych, aby razem z księdzem kardynałem koncelebrować tak oczekiwane przez Tłumaczan nabożeństwo. Ci, którzy uczestniczyli w tej uroczystości, nie zapomną tego dnia do końca życia. Upał był straszny. Umęczeni nim oraz kilkuset kilometrami drogi, tłumaczanie resztkami sił kończą modlitwy. Kardynał schodzi ze stopni ołtarza, gdzie rozdawał dzieciom święte obrazki, a już na środku kościoła oczekuje go tłumacka grupa. Zaczynają się „nasze tłumackie rozmowy”, tyle że z kardynałem, pośrodku tej małej świątyni, u stóp „naszej świętej Anny” kardynał rozdając obrazki wypytuje i w końcu błogosławi naszą grupkę. Uroczystości kościelne w Siedlakowicach zakończone”.

Potem odbył się piknik, na którym Tłumaczanie spotkali się z rodakami z Jackówki, obecnymi mieszkańcami Siedlakowic. Były serdeczne rozmowy, wzajemne goszczenie się wojskową grochówką oraz różnymi wypiekami i napojami naszych rodaczek – dziś siedlakowickich gospodyń.

W tym miejscu wszystkim tłumaczanom – członkom naszego Klubu i tym, którzy utrzymują z nami kontakty, należą się serdeczne podziękowania za wielką ofiarność, dzięki której udało się zebrać niebagatelną kwotę ponad 30 mln złotych, niezbędnych do zrealizowania tego zbożnego celu. Podziękowania należą się naszym rodakom z Jackówki, obecnym mieszkańcom Siedlakowic i Marcinkowic. Mała społeczność tych wiosek włożyła serca, wiele pracy i pieniędzy w wykonanie nowego muru, oprawę obrazu w ołtarzu, odnowienie konfesonau i boazerii oraz tynkowanie, malowanie i wreszcie kupno dywanu przed ołtarz. Wszystkiego zaś doglądała rodzina państwa Kłapkowskich, do której przyłączyli się Roman Mazurek, Zbigniew Mucha oraz panie Baran, Bronowicka, Jaśkiewicz i Oblińska. Serdeczne podziękowania należą się również księdzu Zbigniewowi Wróblowi, proboszczowi parafii w Siedlakowicach, dzięki któremu w dużej mierze uroczystość nasza udała się nadspodziewanie.

I tak, dzięki świętej Annie Samotrzeciej, w gorących modlitwach połączyły się serca ludzi wyrosłych na polskiej kiedyś ziemi lwowskiej i tych, którym los przeznaczył na dom ziemię wrocławską. Uczestniczący w tym niezwykłym wydarzeniu zabrali pamięć o tym w duszy, dla tych zaś, którym nie dane było przeżycie osobiste tego wydarzenia, nasi tłumaccy „kronikarze” dokonali filmowego zapisu uroczystości kamerą video.

**1-14 czerwca 1995 roku**

#### **Sułów k. Milicza**

Ostatnie spotkanie tłumaczan w pierwszym półwieczu od opuszczenia naszego miasta odbyło się na ziemi opolskiej w Sułowie k. Milicza, w ośrodku ładnie położonym wśród lasów, w domkach zapewniających wygodny wypoczynek. Wśród 50 osób, które spotkały się tym razem byli: Danuta Tabińska-Juhasz, Krystyna Ossowska-Korta, Luka Bilińska, Maria Laner-Adamczyk z mężem, Jerzy Czyżycki z żoną i wnucętami, Roma Lityńska-Króliczek, Henryka Czaplinska-Jankowska, Janina Białkowska-Pactwa, Anastazja Białkowska-Bogucka, Emilia Śniechowska-Bilut, Tadeusz Śniechowski z żoną, Weronika Wiszniewska, Janina Sokolowska-Kubica, Julian Piotrowicz z żoną, Maria Dębiec-

Kasperowicz, Zdzisław Kłonowski z żoną, Zygmunt Burczyński z żoną, Jadwiga Burczyńska-Storożenko z mężem, zięciem i wnuczkami, Lidia i Michał Dasiewiczowie, Helena Patrus-Biedka z mężem, Janina i Józef Duszyński, Władysław Geruła, Anna Panachida-Bocheńska, Józefa Panachida-Skowron, Józef Czohara, Maria Sapa, Krystyna Lityńska-Szymulowicz, Zygmunt Boniowski i Irena Pełech-Ruszel.

Zebranie sprawozdawczo-wyborcze, odbyło się tym razem na początku zjazdu, a otworzyła je wiceprzewodnicząca Danuta Tabińska-Juhasz smutną wiadomością o śmierci naszego nieodżałowanego kolegi i wieloletniego prezesa Klubu, Zbigniewa Bojczuka. Śmierć zabrała także wielce zasłużonego dla Ojczyzny tłumaczanina, ks. Romana Dacę. Oddając hołd zmarłemu, uczciliśmy ich pamięć chwilą ciszy i zadumy nad ulotnością naszego ziemskiego bytowania. Rozpoczynając sprawozdanie z pracy Zarządu Danusia Tabińska-Juhasz powiedziała, że choć w tym roku mija 50 lat od wypędzenia nas z Tłumacza, potrafiliśmy się jednak odnaleźć, zorganizować i od 40 już lat spotykać na tyle często, aby wytworzyły się między nami więzy prawdziwej przyjaźni, szacunku i przywiązania. Wyraziła też nadzieję, że tak już pozostanie na zawsze. Podkreśliła dalej, iż nie małą rolę w integracji środowiska tłumackiego odegrały dwa główne zadania, jakie sobie wytyczyliśmy, i które wykonaliśmy, czyli ufundowanie tablicy-epitafium dla uczczenia pamięci wielkiego społecznika i wieloletniego proboszcza tłumackiego, ks. kanonika Edwarda Tabaczkowskiego oraz renowacja obrazu św. Anny Samotrzeciej z głównego ołtarza kościoła z Tłumacza, teraz podtrzymującego na duchu małą społeczność siedlakowiecką. Duży wpływ miały na nas także liczne zjazdy ogólnopolskie i spotkania środowiskowe, których było już ponad 26, a wśród nich szczególnie w swej wymowie i bardzo udana wycieczka do Tłumacza.

Po sprawozdaniu i dyskusji wybrano nowy Zarząd Koła w następującym składzie:

Zygmunt Burczyński – prezes  
 Maria Dębiec-Kasperowicz – zastępca prezesa  
 Jerzy Czyżycki – sekretarz  
 Anna Panachida-Bocheńska – zastępca sekretarza  
 Michał Dasiewicz – skarbnik  
 Do Komisji Rewizyjnej weszli:  
 Władysław Geruła – przewodniczący  
 Józefa Panachida-Skowron – zastępca przewodniczącego

Halena Bilińska – członek Komisji

Nowy Zarząd za główne zadanie uznał konieczność opracowania i wydania monografii o Tłumaczu.

W czasie pobytu w Sułowie zorganizowano wyjazd do kościoła w Siedlakowicach na wspólną mszę świętą. Ksiądz proboszcz Zbigniew Wróbel powitał nas serdecznie, jak starych znajomych i jeszcze raz podziękował za wkład finansowy oraz inicjatywę renowacji obrazu Świętej Patronki Tłumacza i Siedlakowic. Teraz, jak przed laty, mogliśmy znów przed naszym obrazem zanieść modły o zdrowie i spokój oraz o to, abyśmy mogli jeszcze długo spotykać się w tłumackim gronie. Wielu z obecnych wówczas dane było po raz pierwszy po 50 latach zobaczyć cząstkę miasta naszego dzieciństwa. Było to bardzo wzruszające i niejedna łza zabłysła w oku.

Tak jak każdego roku, tak i w Sułowie czas upłynął nam na wypoczynku, spacerach po pięknym lesie i tradycyjnych wieczorach przy ognisku. Znów były śpiewy, żarty, wspomnienia i wspaniała „estrada” w wykonaniu niezastąpionych: Irenki Pełech i Janeczki Sokołowskiej.

Czas umilało nam także oglądanie filmów z kaset video, szczególnie z nagraniem uroczystości ponownego poświęcenia obrazu św. Anny w Siedlakowicach. Również jak co roku w domkach trwały do późnych godzin nocnych tak zwane „wspominki i pogaduchy”.

Pożegnania też jak zwykle były rzewne, z obietnicami spotkań za rok, ale już w drugim pięćdziesięcioleciu życia „rodziny tłumackiej” poza Tłumaczem.



„Rodzina Tłumacka” zgromadzona jeszcze raz przed obrazem tłumackiej św. Anny w Siedlakowicach’ mszy św., którą odprawił miejscowy proboszcz ks. Zbigniew Wróbel

# Odpust w Siedlakowicach

Jerzy Czyżycki

Jak co roku tłumaczenie spotkali się 30.07. br. na odpuscie w Siedlakowicach, by złożyć hołd u stóp św. Anny Samotrzeciej, naszej Tłumackiej Orędowniczki.

Tym razem było nas niewiele. Być może aura – a było bardzo gorąco – sprawiła, że przyjechało ledwie 6 osób. Prócz nas, wrocławian, z dalekiego Lublina przyjechał W. Hapoński, który po raz pierwszy po wojnie zobaczył obraz, przed którym w latach młodości się modlił.

Mszę św. odprawił ks. Ireneusz Homącik, rektor i proboszcz z Barda Śl. Po mszy św., jak nakazuje tradycja, odbyła się procesja wokół kościołka. Proboszcz, ks. Zbigniew Wróbel, w swoim wystąpieniu przed właściwym nabożeństwem, serdecznie witał wszystkich zebranych na tej uroczystości, a szczególnie gorąco nas tłumaczan, którzy corocznie przybywają na odpust.

Parafianie tego niewielkiego kościołka filialnego z Siedlakowic i z Mirosławic, ciągle upiększają swoją świątynię. Stale w niej coś przybywa, a to grota poświęcona Najświętszej Marii Pannie, a to nowe pokrycie wieży oraz inne dokonania upiększające ten skromny obiekt.

Pani Weronika Kłapkowska, jak zwykle życzliwa i przyjazna nam tłumaczanom, zaprosiła na skromny poczęstunek, a pić się naprawdę w tym upale chciało. Jak co roku i w tym pogoda dopisała, a słońko mocno nam przyświecało, toteż zaproszenie przyjęliśmy z wdzięcznością.

W czasie rozmowy okazało się, że pani Weronika przechowuje ornaty tłumackie, które już nie służą w liturgii.

W porozumieniu z dyrektorem Muzeum Archidiecezjalnego we Wrocławiu, ks. dr. Józefem Paterem, zostaną one oddane do Muzeum, by po latach tułaczki znaleźć odpowiednie dla siebie miejsce.

## Protokół zebrania Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan odbytego w dniu 6. 06. 2000 r. w Kołobrzegu

Porządek obrad:

1. Zagajenie
2. Przedstawienie wyników działalności Zarządu za rok 1999
3. Omówienie spraw związanych z wydawaniem Zeszytów Tłumackich
4. Zakończenie

ad. 1. Prezes Z. Burczyński powitał serdecznie wszystkich zebranych uczestników wczasów w Kołobrzegu. Oświadczył, że tegoroczne wczasy z przyczyn od nas niezależnych (remont w dawnym ośrodku) odbywamy w ośrodku „Oaza”.

ad. 2. Kol. Królikowska przedstawiła wyniki finansowe za rok 1999. Stan środków na dzień 31. 12. 1998 wynosił 9. 499,11 w tym blokada 6.000 zł

Stan środków na 31. 12. 1999 wynosił 8.511,91 w tym blokada 6.000 zł.

W ciągu roku po stronie przychodów zaksięgowano	6.999,22
w ciągu roku po stronie rozchodów zaksięgowano	7.986,42

W przychodach stanowiły:

składki członkowskie	1.174,—
dotacje i darowizny	2.960,64
odsetki bankowe	651,68
wpłaty na Zeszyty	2.212,90
Wydatki stanowiły:	
na cele administracyjno-organizacyjne	1.040,12
na cele programowe	454,10
inne	6.492,20

Sprawozdanie Zarządu z działalności w roku sprawozdawczym 1999

Zarząd odbył pięć zebrań. W tym czasie zorganizował spotkanie opłatkowe oraz odpust w Siedlakowicach.

Na zebraniach omawiano sprawy bieżące, a w szczególności wydawania Zeszytów Tłumackich.

W oparciu o przedstawione wyniki działalności finansowej przez skarbnika i ocenę Komisji Rewizyjnej Zarząd po dyskusji przyjął jednomyślnie sprawozdanie z działalności za 1999 rok w formie uchwały. Urząd Skarbowy otrzymał zeznanie na formularzu CIT-2. Sprawy wczasów w Kołobrzegu były tematem kilku zebrań. Remonty i podział ośrodka w Kołobrzegu przy ul. Arciszewskiego pomiędzy kilku użytkowników nie pozwalał na odbycie wczasów tradycyjnie w pierwszej połowie czerwca. Pozostawał jedynie termin wrześniowy. Jak w ubiegłym roku do Kołobrzegu zjechało 25 osób. Wg opinii, jakie wyrażali uczestnicy, były to naprawdę udane wczasy pod względem atmosfery na nich panującej oraz niespotykaną w tym czasie aurą. Słońce, ciepło, z jednej strony, pogoda ducha i radość z drugiej, to najlepsze wrażenia, jakie wywieźliśmy z tego zeszłorocznego pobytu.

Sprawy Zeszytów Tłumackich były omawiane na wszystkich zebraniach Zarządu. Redakcja przedstawiała swoje projekty treści kolejnych numerów. Pomimo obaw, że może zabraknąć materiałów do następnych numerów okazało się, że otrzymaliśmy od naszych prenumeratorów wystarczająco dużo materiału, by kontynuować wydawanie ZT w bieżącym roku.

Jak co roku nasi członkowie brali udział w kweście w dniu 1 listopada na rzecz cmentarza Orłąt Lwowskich. Kwestowali: A. Bocheńska, A. Biliński, D. Tabińska-Juhasz.

Jak co roku, urządziliśmy opłatek. Tym razem udział w nim wzięło 36 osób. Na odpust w Siedlakowicach przyjechało 25 osób. Tam urządziliśmy przyjęcie odpustowe w miejscowej świetlicy.

Musimy podkreślić ogromne zaangażowanie córki p. Kłapkowskiej, S. Greli, która przygotowała to naprawdę udane przyjęcie w Siedlakowicach.

Na odbywający się Zjazd Wyborczy TMLiKPW w Bydgoszczy Zarząd opracował sprawozdanie z działal-

ności ostatnich czterech lat, które zostało przesłane Zarządowi Głównemu.

Następnie sprawozdanie przedstawił Przewodniczący Komisji Rewizyjnej, kol. W. Geruła; oświadczył, że Komisja po zapoznaniu się z przedstawionymi dokumentami przez skarbnika i sekretarza Oddziału stwierdziła, że działalność na odcinku finansowym oraz administracyjnym jest bez zarzutu, że wydatki są celowe, a Zarząd pełnił swą funkcję zgodnie ze statutem. Wnosił o zatwierdzenie działalności Zarządu za rok 1999.

Po tych sprawozdaniach wywiązała się dyskusja, w czasie której pytano o różne sprawy poruszone w sprawozdaniach. Odpowiadali członkowie Zarządu i Przewodniczący Komisji Rewizyjnej. Zebrani zaaprobowali działania Zarządu za rok 1999.

ad. 3. Redaktor Naczelna D. Tabińska-Juhasz przedstawiła sytuację na odcinku wydawania Zeszytów Tłumackich.

W ub. roku wydawało się, że zabraknie materiałów dla dalszego wydawania Zeszytów. Apel do naszych członków i sympatyków o nadsyłanie materiałów spowodował napływ artykułów i Zeszyty mogły się ukazywać tak jak dotąd, cztery razy w roku. Zebrani wypowiedzieli się na ten temat i pozytywnie ocenili pracę redakcji.

Poruszono też kwestię wczasów przyszłorocznych. Tematu nie rozwijano pozostawiając go i uzależniając od tego, czy dysponent dawnego ośrodka zagwarantuje nam pobyt w czasie 1-14 czerwca w 2001 roku.

Postanowiono też, wzorem lat ubiegłych, wysłać pozdrowienia do wszystkich naszych członków.

Na tym zebranie zakończono.

Sekretarz  
Jerzy Czyżycki

## Listy

### Kochane Koleżanki i Koledzy z Tłumacza!

Jestem Wam ogromnie wdzięczna za pamięć o mnie i przesyłne kartki z wspólnych wczasów no i za Zeszyty Tłumackie. Przez Was odnajduję łączność z ludźmi dawno zapomnianymi.

W Zeszytach są dawne niezapomniane wspomnienia młodości, dobrej i szczęśliwej i wieku dojrzałego w czasie tragicznej i okrutnej wojny.

Sercem i duszą chciałabym się z Wami spotkać, ale trochę choruję i boję się jechać w taką daleką podróż. Żałuję tego bardzo i zazdroszczę Wam spotkań, ale cieszę się razem z Wami morzem, ogniskiem i śpiewem z naszych stron. Może jeszcze się spotkamy chociaż to takie trudne, ale Bóg jest łaskawy.

Szczęść Wam Boże i piękne serdeczne uściski i pozdrowienia przesyła Wanda Jakubowicz-Jagiello z Krakowa

\*\*\*

### Szanowna Redakcjo!

Wielką radość sprawiacie mi Państwo przesyłając kartkę z pozdrowieniami ze spotkań Tłumaczan w Kołobrzegu. Dziękuję również za przysłanie mi 2. numeru Zeszytów Tłumackich, w którym znowu znalazłam wzmianki o moim stryju Leonardzie Duniczu i jego synu kapitanie Tadeuszu Duniczu. Postaram się ten kwartalnik zaprenumerować.

Łączę wyrazy poważania oraz życzenia rozwoju Waszego pisma

Helena Niwińska

\*\*\*

### Szanowni Państwo

W lutym br. otrzymałam z Krakowa od drugiej żony mojego ojca (siostra stryjeczna mojej śp. mamy – Duniczówna z domu) Zeszyty Tłumackie – niestety tylko do wglądu.

Byłam bardzo wzruszona czytając je, bo odżyły moje dziecięce wspomnienia. W latach 1933-37 jeździłam z Mamą do Tłumacza do wujka mojej mamy – księdza Edwarda Tabaczkowskiego – spędzałyśmy



Ks. Edward Tabaczkowski  
(ze zbiorów J. Niwińskiej-Płockiej)

tam wakacje – w moich wspomnieniach – cudowne. Był tam też mój dziadek Leonard Dunicz i wój Mietek, tylko jedenaście lat starszy ode mnie. W pierwszych latach widzę we wspomnieniach ciocię (siostrę księdza) panią Marię Wołowcową z mężem. Dziadek mój w 1938 roku przeprowadził się do nas do Białej Podlaski, gdzie zmarł 11.03.1939 r. Wój Mieczysław został lekarzem medycyny i zginął w tragicznym wypadku w szpitalu wojskowym w Szczecinie w lipcu 1946 roku. Matka moja zmarła 20.10.1947 r. w Gdańsku. Pozostali trzej bracia również nie żyją: Tadeusz (był pod Tobrukiem i

pod Monte Cassino) – zmarł w 1989 r. w Durbanie, Antoni (lekarz weterynarii) – zmarł w 1988 r. w Warszawie, a Leonard postrzelony z karabinu maszynowego przez ubowców 26.12.1946 r. w Sopocie (był po wojnie w WIN) aresztowany i więziony na zamku w Lublinie. Po zwolnieniu przez wiele lat musiał meldować się w UB co miesiąc – zmarł w 1993 r. w Poznaniu.

Tak więc pozostałam jako jedyna żyjąca wnuczka śp. Jadwigi Tabaczkowskiej, Duniczowej, rodzonej siostry księdza Edwarda Tabaczkowskiego. W dziecięcych wspomnieniach kościół św. Anny i plebania w Tłumaczu pozostały wspaniałe.

Mam sporo świętych obrazków którymi obdarowywali mnie młodzi księża przebywający w lecie w Tłumaczu.

Za miłe słowa w listach, za zdjęcia i obrazki, za przysłane materiały do druku Szanownym Tłumaczanom bardzo dziękujemy

Mam też fotografie, pragnę podzielić się nimi z Państwem. Bardzo żałuję, że wcześniej nie mogłam skontaktować się, a Wrocław jest tak daleko. W „Zeszytach” znalazłam wiele wspomnień o księdzu Tabaczkowskim, księdzu Dacy, a także o dziadku moim i wuju Tadeuszu (wspomnienia z Monte Cassino)

Z poważaniem  
Janina Niwińska-Płocka  
dr med.

\*\*\*

„Zeszytom”, które tak wspaniale swymi publikacjami ocalają od zapomnienia tłumacko-kresową przeszłość – dalszych sukcesów życzą

Stefania i Juliusz Petrusowie

Redakcja



Na pamiątkę  
święceń kapłańskich  
i pierwszej Mszy świętej

Ks. Czesław Tuzinkiewicz

Tłumacz, w czerwcu 1934 r.

Na pamiątkę  
święceń kapłańskich

Ks. Roman Dąca

Lwów, 18 czerwca 1933 r.

dzie do mnie.

In Italy

O jedno proszę Pana i tego  
pragnę, abym przebywał w domu  
Pańskim po wszystkie dni życia  
mego.

Ps. XXVI, 4.

**PAMIĄTKA**  
**PIERWSZEJ MSZY ŚWIĘTEJ**  
którą odprawił  
**KS. MARJAN CZABANOWSKI**  
w TŁUMACZU  
dnia 1 stycznia 1933 roku.

Jezu, błogosław tych, którzy doprowa-  
dzili mnie do ołtarza Twego.

1000

Ks. Eymar.



## Zawiadomienia

Szanowni Prenumeratorzy! Drodzy Tłumaczanie! Na rynku prasowym stale rosną ceny: papieru, druku, porta pocztowego itp. Od początku wydawania „Zeszytów” (tj. od 1996 r.) nie podnieśliśmy ich ceny, w związku z tym zarząd zdecydował się podnieść wysokość prenumeraty na 2001 rok z dotychczasowej ceny 16 zł na 20 zł rocznie.

\*\*\*

Dzięki nieustrudzonej mrówczej pracy Nestora naszej tłumackiej rodziny dr. M. Nikosiewicza, posiadamy dużą kolekcję zdjęć obrazujących miasto Tłumacz i życie jego mieszkańców w okresie przedwojennym i za czasów obu okupacji. Zarząd i Redakcja długo zastanawiały się czy wydać osobny album zdjęciowy, czy też dodawać po parę stron fotografii do każdego numeru „ZT”. Z uwagi na brak funduszy na album wybraliśmy to drugie rozwiązanie, co też zresztą znacznie podnieśli koszty wydawnictwa „ZT”. Zwracamy się więc z gorącym apelem o wsparcie funduszu wydawniczego „Zeszytów Tłumackich”. Prosimy głównie Tych Państwa, którzy mogą sobie na to pozwolić i są specjalnie zaangażowani w sprawy kresowe. Próbowujemy uchronić od zapomnienia kawał historii naszych stron. Licząc na ofiarność członków i sympatyków postaramy się jeszcze w następnym roku utrzymać przy życiu „Zeszyty Tłumackie”.

\*\*\*

Następny nasz wielki apel kierujemy do drogich Tłumaczan o nadsyłanie swoich wspomnień

(mogą być pisane ręcznie, stylistyką też zajmiemy się). Chodzi głównie o fakty, daty, nazwiska, zdarzenia. Właśnie skończyły się nam ciekawe cykle drukowane w odcinkach. Na przykład: opracowanie ks. L. Jeżowskiego pt. „Ulice Tłumacza i jego mieszkańcy” towarzyszyło nam od pierwszego numeru „ZT” i było z zainteresowaniem czytane. Niektóre ulice były jednak opisywane pobieżnie lub całkiem pominięte. Dlatego prosimy o wspomnienia z miejsc swojego zamieszkania, swoich sąsiadów itp.

Oczekujemy również opisów z nieludzkiej ziemi, gdyż cykl kol. Janiny Kochańskiej-Reich skończył się też, a tytu Tłumaczan przebywało na Sybirze i dużo wspomnień jeszcze mogłoby być opublikowane.

Ciekawe są też sagi rodzin, które tak pięknie rozpoczął 17-letni Adam Biliński w przedostatnim numerze.

Nie wszystko jeszcze zostało powiedziane o szkole powszechnej, gimnazjum, seminarium, harcerzach. Piszcie co pamiętacie! – Czekamy!

\*\*\*

Tradycyjne styczniowe spotkanie opłatkowe we Wrocławiu pragniemy urządzić w lokalu gastronomicznym. Konsumpcja będzie wynosiła 15 zł od osoby. Chętnych prosimy o wpłacenie jej do końca roku.

Spotkanie odbędzie się w ostatnią sobotę stycznia o godz. 14. w Restauracji „Bankowa” ul. Dąbrowskiego 42 k. Dworca Głównego we Wrocławiu.

Wszelkie wpłaty prosimy kierować na nasze konto bankowe **PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-434384-270-1.**

Zarząd i Redakcja

## Lista ofiarodawców za III kw. 2000 r. (w zł)

- |   |        |
|---|--------|
| 1. Petrus Julian, Rzeszów .....                           | 50,-   |
| 2. Bielański Jan, Wrocław .....                           | 32,-   |
| 3. Ks. Wróbel Zbigniew, Zachowice .....                   | 34,-   |
| 4. Szczepińska Jadwiga, Puławy .....                      | 16,-   |
| 5. Korneluk-Korybska Stanisława, Gliwice .....            | 66,-   |
| 6. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Warszawa ..... | 2000,- |

**Szanownym Ofiarodawcom składamy  
najserdeczniejsze podziękowania.**

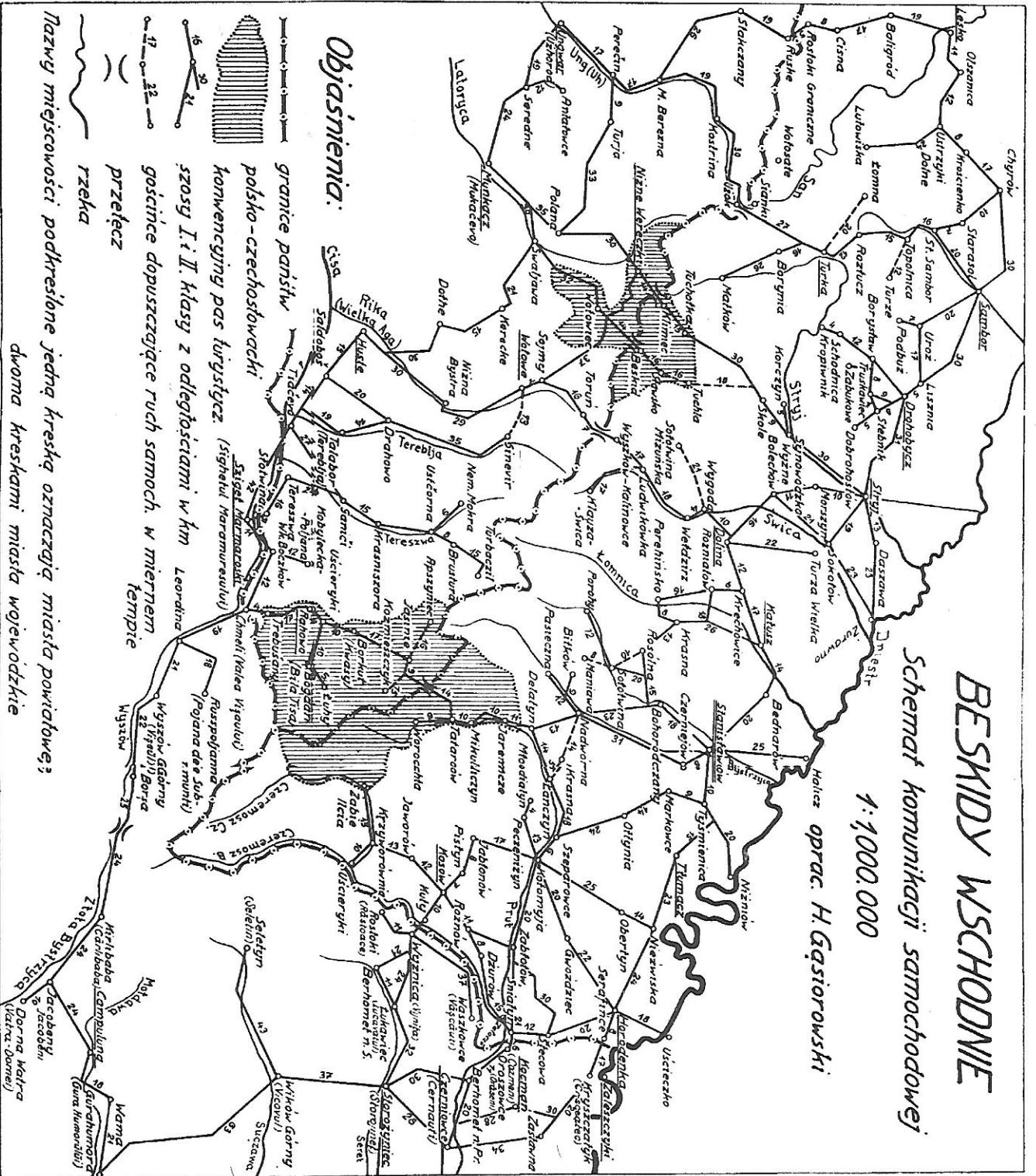
Specjalne podziękowania za udzielenie dotacji na wydawanie naszych „Zeszytów Tłumackich” kierujemy na ręce Pana Andrzeja Przewoźnika Sekretarza Generalnego Rady OPWiM w Warszawie.

# BESKIDY WSCHODNIE

Schemat komunikacji samochodowej

1:1000.000

Halicz oprac. H. Gąsiorowski



## Objaśnienia:

- granice państw
- polsko-czechosłowacki
- szosy I i II. klasy z odległościami w km
- gościniec dopuszczający ruch samych w miernym kierunku
- przełęcz
- rzeka

Nazwy miejscowości podkreślone jedną kreską oznaczają miasta powiatowe;  
dwoma kreskami miasta wojewódzkie